



Historja powstania górnosławskiego i jego rezultaty.

Streścił
Pronobis z Bytkowa.

Wydane przez
polski związek górnosławskich autonomistów.



Historja powstania górnosławskiego i jego rezultaty.

Streścił
Pronobis z Bytkowa.

Wydane przez
polski związek górnosławskich autonomistów.



Library Signature

12402 S



K177188/26 S1



Do moich współziomków!

Dnia 10. 8. 1919 aresztowano mnie, jako powstańca i górnoślązaka na terenie Królestwa Polskiego w Sosnowcu. Aresztowania tego właściwej przyczyny do dziś dnia, mimo usilnych starań moich, dowiedzieć się nie mogłem. Pozostaje mi jedynie domyślać się, jakie okoliczności i czynniki do tego się przyczyniły.

Aresztowanie nastąpiło w Głównem Dowództwie P. O. W., dokąd mnie jako organizatora i na komendanta żandarmerji polowej, w prowizorium powstańczych oddziałów, w których straszne nieporządki zapanowały, powołano. Po zorganizowaniu inspekcji i żandarmerji polowej zaczęły na jaw wychodzić okropne stosunki, a ulękli się przedewszystkiem ujawnienia tego najwyżsi wodzowie i postanowili mnie skrytobójczo usunąć. Ja z mej strony, czując się zupełnie niewinnym by dać do aresztowania tego jakie powody, pytałem się, o przyczyny tego i na czyją odpowiedzialność się to dzieje, protestując przeciw temu. Odpowiedziano mi, iż dzieje się, to na rozkaz polskiego pułkownika Żymirskiego, którego nam Warszawa przysłała, jako kierownika sztabowego do przedsięwzięć strategicznych. Prosiłem wybranego przez komendantów powiatowych na komendanta powstańców, względnie organizacji naszej P. O. W. na Górny Śląsk, p. Alfonsa Zgrzebniaka o wytłómaczenie postępowania takiego przez Żymirskiego i o prawo tegoż do mnie, jako wolnego powstańca i obcego dotąd poddanego, na co mi Zgrzebniak dał słowo honoru, iż w tej sprawie będzie interweniował i o jak najspieszniejsze uwolnienie mnie się starał. Z mej strony dałem przyrzeczenie, iż w razie gdyby się najmniejsza jaka вина moja ujawniła, spokojnie się pod wszelaki wyrok poddać.

Otrzymałem też zaraz od oficerów polskich przyrzeczenie honorowe, iż mnie jako członka Dowództwa Głównego a więc jako oficera traktować będą.

Atoli słowo honoru p. Alfonsa Zgrzebniaka, jak i oficerów polskich, okazały się natychmiast kłamstwem, czczym frazesem, dowodzącym, jak małe pojęcie o kodeksie honorowym ta szajka ludzi w mundurach oficerskich posiada.

Osadzono mnie między innymi politycznie przyaresztowanymi powstańcami lub górnoślązakami między czterema ścianami, gdzie literalnie nic innego prócz drzwi i krat nie było. A więc musiałem spać i siedzieć na podłodze. W kilka godzin miałem roje robactwa za koszulą. Chleba aresztowani już kilka tygodni nie widzieli, dostając raz tylko na dzień przesłany im przez dla powstańców górnośląskich istniejącą kuchnię, cienką zupę. Nazwiska aresztowanych górnoślązaków są: Anton Hermeth z Mysłowic, Synagogenstr. 2, Leon Goralczyk z Mysłowic, Entengasse 28, Franciszek Wybchol z Rudy, Barbarastr. 8, Paweł Maroń z Niem.-Piekar, Hauptstr. 4, Udo von Balten z Lublińca, Saturnus z Blasowic, Ocylok, Królewska-Huta, Neubejdukerstr. 8, Krotochwil i jego narzeczona Furgol, Wilhelm Buschmann z Giszowca, Robert Michalik z Szopienic, Musioł z Królewskiej Huty, Wilhelm Kałęba z Szopienic, Wilhelm Stollorz z Szopienic, Paweł Tolloch i jego narzeczona, prezes Rady Ludowej z Szopienic, Wcźnica z Zabrze.

O moim położeniu straszmem w areszcie polskim może poświadczyć: Mieczysław Gawędzki, student prawa uniwersytetu Jagiell. w Krakowie, a syn p. aptekarza Gawędzkiego z Częstochowy.

To działo się w Sosnowcu. Gorzej mi było w areszcie wojskowym w Częstochowie, dokąd mnie po trzechdniowym pobyciu eichaczem przetransportowano. Tu mnie już zgroza i rozpacz ogarnęła. Robactwo toczyło mi ciało, za parę dni, świerzb mnie zaczął dręczyć. Zimno w nocy dokuczliwe, bo spadły później pierwsze śniegi, a tu bez przykrycia, bez opału przy powybijanych szybach w oknie, całe tygodnie cierpieć piekne te męki się musiało. I to mi zrobili, wolnemu, dla Polski walczącemu górnoślązakowi — polakowi — polacy bracia.

A co jeszcze! Żadne perswazje, żadne groźby, żadne prośby nie nie pomagały. Znam ja kajdany niemieckie, znam i rosyjskie, ale przyśięgam, iż polskich kajdan bym już drugi raz w

światłu znosić nie chciał. Wolalbym siedem lat siedzieć w niewoli innej, niż te siedem tygodni w wolnej Polsce.

Ale nie tylko nademną się pastwiono, ale i tego, czego Niemcy i Moskale nie zrobili, tego się nasi bracia dopuścili. Znęcanie się nad żoną moją. Żona biedna moja, w dodatku przewodnicząca tow. Polek i tow. nad żołnierzami w Bytkowie, jedna z najdzielniejszych patrijek i męczenniczek polskich na Górnym Śląsku, znosząca dzielnie liczne rewizje grenszuców w domu, drżąca o mnie, ojca dzieci, na którego pochwycenie Niemcy kilka tysięcy marek nagrody przeznaczyli, tę żonę okłamali świadomie — polscy bracia — kiedy do mnie do Polski się przedarla i całe tygodnie ją w nieświadomości trzymali o moim losie.

Ja, jak wyżej wspomniałem, znany osobiście wszystkim działaczom politycznym w Sosnowcu, a więc podkomisarzowi Czapli, adwokatowi Wolnemu, księdzu Pośpiechowi, Drejzie, krótko mówiąc „wszystkim“ daremno pisałem, przedstawiałem, co oni zemną uczynili. Daremno napisałem do „Kurjera Częstochowskiego“ niemal cały tom, daremno telegrafowałem do Piłsudskiego, daremno pisałem po adwokata, czego największemu zbrodniarzowi odmawiać się nie śmie; daremno wołałem, by mnie sądzono, a gdy mi najmniejszą winę się udowodni, mają mnie postawić pod mur. Daremno się odwoływałem na moje ofiary dla Polski, na moje stanowisko jako komendant okręgowy P. O. W., jako prezes Rady Ludowej, jako członek Dowództwa Głównego, jako komendant żandarmerji, o co się nie dobijałem. Daremno groziłem odwołaniem się na prawo konsularne niemieckie w danym razie i na odgłos ludu górnośląskiego, gdy się o tem dowie. Kpił sobie z tego wszyscy i okazali się nie ludźmi, lecz szatanami. Aż mnie przekonali, iż daremnie mi wzbudzać w tych sercach bez wstydu co tak nawet, jak naprz. niejaki Ręka z Kozłowej Góry, po aresztowaniu mnie, w moich rzeczach chodzili, rozumu politycznego i sumienia jakiegoś współczucia, postanowiłem ujść z rąk ich piekielnych. Zbiegłem im na Górny Śląsk a oni — — —! Otóż te szatany, zamiast przyjść do siebie, zamiast mi przyjść z ręką bratnią do zgody i zapomnienia, zawyli z wściekłości, iż im ofiara ujść zdołała. Nie wiedzieli jeszcze, iż jestem już na Śląsku i wydał rozkaz morderstwa, rozkaz bratobójstwa, rozkaz wyrzuty zastrzelenia mnie na granicy, gdy będę ją przechodzić. Rozkaz

taki doszedł nawet do rąk moich krewnych, którzy oślepieni dla Polski przezemnie, poszli do wojskowej służby w Polsce. Ulekli się „bracia“ moi teraz dopiero tego, czem im groziłem, to jest sądu ludu Górnośląskiego, gdy się do niego odezwę.

Ale jeszcze ja na tyle litości nad tą Polską, na tyle taktu posiadałem, iż mnie samemu tego wstyd było, co moi ci bracia zemna, i z tyloma innymi zrobili. Nie chciałem tego, by się nasi przeciwnicy dotychczasowi dowiedzieli, co się między nami dzieje. Dlatego milczałem i poszedłem tam, gdzie się mi ex officio udać jedynie wypadało. Poszedłem do „Gazety Ludowej“, której się w końcu sprzykrzyłem, poszedłem do Katowic do Rady Ludowej, do biura informacyjnego, do księdza Pośpiecha i innych, lecz tu wszędzie znalazłem pusty frazes zdziwienia i uśmiech żartobliwy.

A ci, co sumieniem piekielnem obciążeni krzywdy mojej winą, nie myśleli ani nie myślą bynajmniej o skrzesze, ale piekielnym jadem nienawiści „bratniej“, zamiast w siebie wejść i wstydzić się uczynku swego, rodzajem gadów syczących, szukają dalej jad swój pod piętę mi zastrzyknąć. Szukają mnie dalej kąsać, i grożą mi „czarną listą“, grożą mi nazwą „zdrajcy narodowego“ jeśli się osміlę prawdę z siebie wycisnąć. Myślą, iż oni tu na Śląsku będą „władać“ napewno i wtenczas nadejdzie czas, kiedy brat bratu niemiłemu painie „po polsku“ w łeb i będzie „sza i cicho“! Nie wolno mi się bronić i nie wolno mi się pytać nawet, kto i zaco mi tę krzywdę wyrządził, krzywdę o pomoc do nieba wołającą. Ha, Wy bracia opryszki! To Wy jeszcze tej Polski nie macie, a już takie świństwa, już takie bezprawia robicie? Nie macie mnie już w swej mocy, więc mnie obryzgujecie oszczerstwami, iż ja pieniądze tam jakieś w Polsce zdefraudowałem! iż ja w żandarmerji rosyjskiej służyłem! iż ja, tak jak Wy na przykład, Was przed Niemcami zdradzałem!

Ha, Wy gady piekielne! Wy się boicie sądu ludu, więc mnie oczerniacie! Ale dajcie dowód na to. Wy wiecie, iż gdy lud Górnośląski się o waszych niemotach, waszej niezdolności, waszych złodziejstwach i cygaństwach i blagach dowie, to przejrzy i zastanowi się, gdzie iść ma i co czynić. Wy wiecie, iż ten lud nie uwierzy wam więcej, waszemu tumanieniu koniec położy prócz kilku, wasz rydwan ciągnących zaślepieńców i rzuci was na śmietnik waszej nicości i nikczemności, z któreście

wesali na trony płatne i przystojne. Fantazje Wasze znajdują obliczenie w rzeczywistości gniewu i przejrzenia ludu i nie wejdziecie na te trony, na których do połowy już, kradnąc tysiące, siedzieliście. Pozrzucamy was.

Znacie Wy przysłowie: Nie ciągnij psa za ogon a nie ugryzie cię?

Pocoście mnie pociągnęli tak boleśnie? Więc czekajcie ugryzę Was teraz, a lud Was ugryzie, Wy złodzieje i nikczemnicy do reszty! Wy polacy, którzy Polskę na nowo krzyżujecie i w zaraniu jej świeżej wolności, jej zarodek do nowego upadku zaszczepiacie. Z Wami i przez Was ona bez dłuższego namysłu upaść musi i dla Was i przez Was każdy z odrobiną sumienia, poświęcenia i rozumu politycznego z odrazą się od polskiej sprawy odwrócić musi. Wy, co z namacalnymi dowodami nie dla Polski, lecz z jakichkolwiek zawsze pobudek samolubnych, tej Polski sobie życzycie. Sami tak blisko patrzycie, iż zapominacie, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. I otóż postanowiłem rechnąć Was z tronów Waszych krętaństw nie w dół ale w przepaść piekła, z którego pochodzą dusze Wasze.

Wściekacie się i syczycie na mnie, jako nosobienia tych, co z rozpaczą na Was patrzą, nie śmiać, albo nie nie wiedząc, by przeciw Wam coś począć.

A Ty ludu, czytaj, uważaj i sądzi! Sądzę dokąd cię ci przyprowadzili, co ci na kark wleźli lub do serc złudnemi słowy się zakradli, jak ów zwodziciel niewinnej niedoświadczonej dziewczyny, z której się po czartowsku śmieje, gdy celu swego na niej dopnie. Sądzę ludu nie słowa ale czyny, bo te ci tu namacalnie objawię.

Nie ma złego, ceby na dobre nie wyszło. Dlatego mi nie żal, że przez szajkę podłych i złych ludzi wiele ucierpiał i zawodu doznał. Przez cierpienia i rozczarowania innych, zawsze ogół korzysta, jeśli jest szlachetny i rozsądny. A w Śląsku naszym ludziom zaiste jeszcze nie zbrakło rozsądku i sumienia. Bo podobni jesteśmy do bogatej, niedoświadczonej panny, u której z jednej strony siedzi jeden, a po drugiej stronie drugi kawaler, chciwy nie jej osoby lecz jej posagu. Ta panna to nasz G rny Śląsk, to lud nasz prostaczy, a ci kawalerzy, to Niemiec-prusak i polak-królewski, którym nie chodzi o nas, o duszę naszą, lecz o te skarby nasze.

To ci udowodnię.

Ale niemu nigdy materiału do kłamstwa, do obłudy, do oszczerstwa i nikczemności nie zbraknie. Spodziewałem się, że po ucieczce z niewoli moi szlachetni współbracia, oni się upamiętają. Że im się wstyd i żal zrobi. Albo że będą na tyle roztropni, by mi podać rękę i przeprosić. Ale gdzie tam. Zamiast tego jeszcze tak podli i głupi byli, że szukali, na upodstawienie postępku swego, oczerniać mnie jeszcze i oczerniają do dziś dnia. Doczekałem się tej obłudy, iż nas otwartych i odważnych, coś my przed żadnem niebezpieczeństwem się nie lekali, że ci tchórze, co tak krzyczeli a potem się do mysiej dziury pokryli, że ci krzywo patrzą na nas i za złych polaków trzymają. Racja! Być może, że jesteśmy gorszymi od was polakami, ale zato lepszymi ludźmi, i jeśli polskość i Polska z takich samych, jak wy ludzi się ma składać, zachowaj nas Boże przed nią!

Atoli, jakżesz to przyszło do tego całego aresztowania mnie i kto przypuszczalnie jest winien temu?

Otóż uważaj, mój górnośląski współbracie: Jarzmo pruskie doprawdy już było za srogie i bodaj go ktoś tak srogo odczuł na swej skórze jak ja i cała rodzina moja. Cbyba nikt ojcu mojemu nie mógł ani nie może zarzucić, że nie czuł się polakiem. Przywiązanie do rodzinnego języka i miłość do swoich braci była pobudką do niezachwianej wierności naszemu językowi, obyczajom i naszej glebie. Popierał ze szczupłego grosza swego zaczątki perjodycznej literatury polskiej na Górnym Śląsku, słowem, popierał polskość, jak mógł i gdzie mógł. Wychował też swoje dzieci po polsku i niech dziś powie ktoś, czy brał mój starszy brat, którego wojna pochłonięła, czy bracia inni, którzy jako pierwsi poszli, jako ochotnicy, do armji polskiej, w której jeszcze są, czy w mojej famillii znajdziesz coś niepolskiego? Najlepszem świadectwem atoli dla mojej polskości są Niemcy sami. Nigdy się nie zapierałem polskości mojej, dlatego wiele, bardzo wiele bezpośrednio, z powodu tego otwartego wyznania mojego polskości, ja jako i rodzina moja musiała cierpieć. To też byłem dobrze na pruskiej karcie z powodu tego zanotowany i jako pierwsza z ofiar dla mojego przekonania zostałem na początku wojny z innymi aresztowany i do Nysy przewieziony. Co tam wy-cierpieliśmy, niech powiedzą ci, co zemną byli aresztowani.

Nieszczęśliwym trafem mnie się najwięcej oberwało. Ożenić się i w dziesięć dni po weselu losem takim być dotknięty, to średnia przyjemność! Każdy się szukał z trudnego położenia tego ratować jak mógł. Zgłosiłem się jako ochotnik do wojska niemieckiego. Miałem w tem pewne ważne cele, cele, które Niemcy sami później, niestety przez zdradę własnych rodaków moich odgadli. Zostałem po półrocznej służbie wojskowej zwolniony ale na nowo internowany, przebywszy przeszło dwa lata w niewoli. Zostałem tembardziej tem dotknięty, bo mi zabrano i zniszczono doszczętnie całe mienie. Przecież landrat von Trachenberg bez pardonu wyrzucił żonę moją ciężarną dosłownie na ulicę, pozbawiając ją egzystencji. Miałem od krewniaka mej żony najętą restaurację i po ledwo miesięcznym w niej pobyciu, w przeciągu trzech dni musiała moja żona zimą gminę opuścić. Co to znaczy dla osoby młodej, samej, w zimie, to każdy zrozumie. Wyrzucić kobietę na bruk i zmusić ją by starała się o męża i siebie, o mieszkanie, o utrzymanie, to chyba nie żarty i chyba to z miłości prusko-niemieckiej do mnie się nie stało. Po przeszło dwuletniej niewoli mnie nareszcie z ograniczeniem wolności puszczono do domu, atoli stanąłem pod ścisłą kontrolą policyjno-wojskową. Na nieszczęście, kontrolę tę codziennie spełniał poliujant, który się ściśle zabrał do roboty. W przeciągu jednego roku aż do wybuchu rewolucji „anajgował“ mnie o byle co, przeszło czterdzieści razy. Krom niezliczonych protokołów dostałem pełno kar pieniężnych i pół roku więzienia, które szczęśliwym trafem rewolucji mnie minęły.

Włec nie dziw, iż serce moje było nad miarę przepełnione goryczą i chęcią zemsty za przeszłe i bieżące dolegliwości. Kto się temu zdziwi? Najcierpliwsza miarka się przebiezzer! Postać Konrada Wallenroda i Almansora stała mi wciąż przed oczyma. Któż więc wobec tego może przypuszczać, bym ja mógł żywić sympatię do pruskiego systemu? Będąc w jednym z dwóch głównych sztabów niemieckich i czytany należycie w teorii wojen i wojska nie trudno mi było z niektórych wypadków lub słów wsztabelle dociec sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej Niemiec, ocenić sytuację biegu wojny i kalkulację jej końca. Koniec jej musiał być negatywny, straszny, bo na to wskazywały strasznie ryzykowne wysiłki. Hindenburg już na wschodzie tracił równowagę i spokój strategiczny, tak u niego uwielbiany, a to z powodu

tego, iż wojna ta po pewnym czasie straciła podstawy matematyczne na niekorzyść Niemiec i stała się spekulacją a raczej gimnastyką jego taktyki prędkości, niespodzianki, rozmachu, giętkości i wyszukanek terenowych. Szczególnie używanie swych myśli i wprowadzanie przeciwnika swego za pomocą tajemniczości do ciągłego denerwującego naprężenia, pomagało mu wiele, lecz on sam popadł w rozprężenie nerwowe, kiedy Kitchener położył grunt do walki liczbowej, a spokojny Foch mu w spekulacji niespodzianek stawiał śmiało czoło. Sprężystość i waleczność francuska, wytrwałość i organizacyjny talent angielski wyrównały Hindenburga, który aczkolwiek dobrym jest topografem, kiepskim jest psychologiem. Nie był Moltkiem przewidzianości. Mógł rozwinąć swobodnie strategię swą na duszy i terenie wschodnim, na zachodzie zaczął niedopisywać i z tamtąd przychodziły echa niedobre, które wskazywały, że coś na zachodzie niedobrze funkcjonuje. Kleł na służbę wywiadowczą na zachodzie. Większym psychologiem spekulantem był Ludendorff, który ujął ster w ręce i stworzył strategię polityczną. Dokąd zaprowadziła, to wiemy. Z pogadańek tajemniczych, z półsłówek wiele można było się domyśleć, głównie, że trudno będzie Niemcom wojnę wygrać. Ale Anglicy i Ludendorffa strategii się domyślili i tejże samej się taktyki chwycili. Bombardowali silnemi pociskami duszę niemiecką, aż ją skruszyli; pomogli im jeszcze w końcu sprytni Amerykanie. Wojna nowożytna między Kartaginą a Rzymem skończyła się odwrotnie. Nie Scipio, ale Hannibal wygrał ją.

Cichy dał się słyszeć pomruk rewolucji i słyszał go, kto miał dobre ucho. Hohenzolernom i fantazji ich nemeza coraz bardziej się zbliżała i dzieło Bismarka prędkiej runąć miało, jakby on to był przypuszczał.

Zawiele było dynamitu na dnie dzieła Bismarkowskiego. Zawiele błędów i fałszu w Bizanterji hohenzolernowskiej. Rewolucja szczyrzyła zęby już zdala. Do niej parło bardzo wiele przyczyn i duchów, dążyłem i ja. Rewolucja niemiecka to zstrącenie z tronu Hohenzolernów piketbauby i jej systemu. To słońce wolności wielu narodów i wielu ludzi. To słońce Górnego Śląska. Rewolucja przyszła. Mało było, którzy ją przewidywali, co z nią i koło niej pracowali, ale dużo takich, co z niej chcą korzystać.

„Der Zweck heiligt die Mittel“ Do rewolucji nie trzeba

konieczność mieć czerwoną przepaskę. A jeśli widzę, iż do obalenia dębu jestem za słaby, a drugi również pragnie drzewa z niego, wołam go, obalimy razem, i nabrawszy materiału, każdy idzie w swoją stronę. Mnie socjaliści mało obchodzili, mnie włązał z Liebknechtem wspólny cel, obalenia tronu i systemu pikethauby. Zemsty, za doznane krzywdy. Więc jeździłem do Berlina i paktowałem w imię i dla Górnego Śląska, nie ja sam, bo w tej samej myśli niezmordowanie pracowali i inni, np. rodak nasz pan Kulik, obecnie w Gogolinie. Więc nie znaczy to, jeśli mnie ktoś przyjacielem Liebknechta nazywa, że z nim o Górny Śląsk paktowałem, w tem sensie, iż jeśli on do władzy przyjdzie a przyrzeknie dać Górnemu Śląskowi zupełną autonomję narodową, a w zamian za to zorganizuje się na Górnym Śląsku kadry rewolucyjne, bym ja był spartakusem lub socjalistą, lecz tym polskim górnoślązakiem, który starał się o swobodę narodową dla dzielnicy naszej. W tym kierunku i dla dobra moich współbraci górnośląskich byłbym i z samem lucyferem paktował. I teraz zazdrośni, krótkowidzący, żli moi przeciwnicy, owe zajęcze skórki i sezonowi hurapatryoci polscy Górnego Śląska, strasznie mnie jako „spartakusa“ okrzyczeli, iż do Berlina i Liebknechta jeździłem i to jako powód do aresztowania mi przedstawili. Ci ludzie dają tem tylko dowód, jak głupio i gałgańsko sądzą.

Spodziewana rewolucja nastąpiła i trzeba było dążyć do szybkiego wykorzystania chwili. Alłści tu się pokazało, gdzie są te głowy i serca, co się to teraz tak do polskości a szczególnie na pierwsze miejsca cisną. Nie mogłem żadnego z tych odważnych, mądrych zuchów, co się to powstaniu z za bezpiecznej polskiej granicy przez lornetki przyglądali, znaleźć. Trzeba było sam na sam z odważnymi „niemcami górnośląskimi“ o niepodległość, względnie wolność górnośląskiej, myśleć. Ale tę myśl trzeba przecież było w konkretną jakąś formę ująć, trzeba było siłą poprzeć. Trzeba mi było znów do Berlina samemu jeździć, Berlin Schejdemanów i Ebertów ani słyszeć o tem nie chciał. Przyrzekał tylko reformy. Więc kłedy nie, to nie. Nie w Berlinie, to w kochającej nas Warszawie się znalazł otwarte ramiona dla poparcia pragnień naszej ziemi, dostania wolności. Ale tu dopiero zawód. Warto, moi kochani bracia Ślązacy, wam to szczegółowo opisać.

Z wszelkimi obliczeniami politycznej przezorności, ma-

cając wplerw w Sosnowcu i Dąbrowie o legitymacje, rekomendacje i pomoc i świadków, udałem się w towarzystwie mi przydanego adjutanta p. Syskiewicza z Dąbrowy do Warszawy. Słyszałem, iż obecny Waszyngton polski każdego śmiertelnika przed oblicze swe dopuszcza. Sądziłem, iż mnie, w tak ważnej sprawie, jako Górnoślazaka i tak skrupulatnie wylegitymowanego tembardziej do siebie dopuści i do serca polskiego przy-ciśnie. Ale omyliłem się. Codzień mnie adjutant Piłsudskiego, jakiś nad wyraz nietaktowny, a więc na takie stanowisko za mało się kwalifikujący młody człowiek, na drugi dzień zbywał, aż mi za tydzień cierpliwości zbrakło w drogłej Warszawie, gdzie siebie i adjutanta na swój koszt utrzymywać musiałem, i postanowiłem wracać do domu. Nie miałem szczęścia oblicze tak popularnego Piłsudskiego, słynnego jako organizatora bo-jówek, zobaczyć. Warszawa i Polska wówczas stała, a raczej siedziała pod znakiem czerwonego sztandaru. Nie dziwię się tedy obejściu się ze mną adjutanta Piłsudskiego, bo to socja-lista, a ci, jak wogóle królewiaczy, mało mają pojęcie, że w Niemczech istnieje książka pod tytułem „Knigge's Handbuch über den Umgang mit den Menschen“. Szabelkę błyszczącą pod pachę, laleczkowato się i strojnie ubrać, na wysokich obcasach gratiotissime stapać, wyperfumowaną damę niziuteńko w rączkę pocałować, biesiadować i przytem tytułami sypać obficie, to cały katechizm, względnie kodeks wychowania i pojęcia etykiety towarzyskiej. O takcie wewnętrznym ani znaku. Prostota wewnętrzna górnoślazaka i pojęcie o uprzej-mości nigdy się z tą blagą zewnętrzną etykietalną forma-listyką nie pogodzi. Coś nas odpycha od tego, a imponuje tylko blaznowi.

Nie chciałem atoli zupełnie dni w Warszawie zmarnować. Poznałem się z polskimi żołnierzami niemieckiej okupacyjnej załogi, już rozbrojonej, szczególnie z kilku poznaniami i po-szedłem do koszar ich przy moście Poniatowskiego. Tu wy-lonilem im przyczyny przybycia mego do Warszawy. Pewien aptekarz poznaniek zachwycił się szczególnie myślą moją, która była w głównych zarysach taką:

Zorganizowania jak najprędzej „związków wojskowych“ pol-skich zamiast niemieckich Kriegervereinów na Górnym Śląsku. Młodszych ochotników wysłać na pogranicze do Polski i trzy-mać w koszarach na pogotewiu. Zapropagować myśl tę między

polskimi żołnierzami w armji okupacyjnej, by te kadry na pograniczu wypełnili. Uprosić rząd polski do materialnego poparcia tegoż, o danie koszar na pograniczu i wyekwipowanie żołnierza. Nakłonić żołnierzy, by nie pozostali w Polsce.

Apiekarz ów, którego nazwiska niestety nie pamiętam, zachwycił się tem projektem i poświęcił się ciałem i duszą tejże myśli. Odtąd nie opuszczał mnie ani na krok i postanowiliśmy bez namysłu na własne ryzyko drukować i rozlepieć odezwy do żołnierzy w Warszawie. Poszukaliśmy też dłuższego lokalu na zebrania, które się odbyło. Wiec ten żołnierski przyszedł do skutku i odbył się wspaniale. Zawłązał się bliższy komitet, o który się nie troszczyłem. Był ten wiec kołyską powstania wielkopolskiego i dzisiejszej poznańskiej wolności. Na wiec ten przypadkowo przybyli i posłowie z zaboru pruskiego. Pierwszy raz widzieli Warszawę. Przemawiali Korfanty i Pośpiech.

Pytam się wtedy, kto dał początek temu i co za następstwa tego w Poznańskim, dokąd tę iskrę żołnierze przenieśli, gdy dzielny porucznik Rybka, którego później wyżej już wymieniony pułkownik Żymirski z zazdrości aresztował i do Poznania wyjechać zmusił, dał inicjatywę wolności. Klepsko się Polska dzielnemu Rybkowi odpięła. Dzielni ludzie w Polsce, od Rybki aż do Paderewskiego, mlejsca nie mają. Tam krętacz, żyd i dobry złodziej najlepsze mają powodzenie.

Słyszac poco do Warszawy przybyłem, postanowił mi mój adjutant Syrkiewicz pomódz. Zaprowadził mnie do późniejszego ministra poczty Arciszewskiego, przyjaciela Piłsudskiego.

Ten wysłuchawszy mnie, przyjął pismo powtórnie, gdyż już adjutantowi Piłsudskiego oddałem i odszedł z Piłsudskim o tem pomówić. Ale ten człowiek zgałganił się przedemną. Okłamał mnie, jak się później dowiedziałem i wcale nie myślał dotrzymać przyrzeczenia, przeciwnie, pokrzyżować go. Ciekawe zresztą, o co mnie się pytał i dlatego przyłączę tu niektóre szczegóły, o które mnie się towarzyszy ten o Śląsku zapytał raczył. Był i jest to bowiem także socjalista.

A więc:

„Znasz pan Biniszklewicza?” pyta mnie się.

„Znam! Bardzo dobrze,” odpowiadam.

„Co porabia?”

„Siedzi jak truśka i czeczka zębami, by go Niemcy nie przywarli. Poza tem nalewa teraz politykę w najętej karczemce

do kieliszków i nieźle mu przy tem idzie. Myśli jednak, gdy do tego już wiele odwagi nie będzie potrzeba, wystąpić jako trybun ludu."

"Pan się ujemnie o nim wyraża."

"Tak jak muszę i jak go znam. Jest to wielki polityk i mały szewc. Antykapitałista, zbierający skwapliwie kapitał dla siebie. Polak, który dziś do diabła Polskę pośle, gdy jemu tylko korzyść z tego wyniknie. Myśli, iż będzie ministrem."

"Może, iż jeszcze nim będzie."

"Życze mu tego, ale Polsce nie."

Tak mówiliśmy i źle zrobiłem, iż towarzyszuwi o towarzyszu tak mówiłem. Nie sądziłem, iż z partyjnych względów, towarzysze polski zemści się na polskiej sprawie za mnie. A jednak zrobił to; zrobił jeszcze stokroć podłej później sam Biniszkie-wicz i jego kreatura Rumpfeld — znać i z nazwiska arcypolak. Takich arcypolaków z prastarymi nazwiskami polskimi mamy, włączywszy owego doktora Diamanda, żydka, któremu, na Górnym Śląsku już przeznaczona była wpływowa i intratna posada generalnego dyrektora wielkiego przemysłu, mamy w Polsce bardzo dużo. A takim, jak owego czasu sławetnemu Marcinowi Biedermanowi w Poznaniu, oddaje się największe zaufanie.

Oj ludu górnośląski! Gdybyś ty przejrzał! Ty który masz charakter skłonniejszy do zasad Tomasza a Kempisa. Tobie brakuje jeno jednego — zdolności poznawczej, świadomości prawdy. Oj poznałbyś ty dużo. Poznałbyś przedewszystkiem teorię Marksa, Lassala, Engelsa, lecz co ważniejsze, poznałbyś apostołów ich, szczególnie polskich. Już masz okazję poznania apostołów tejże teorii w dzisiejszym Berlinie; poznałeś Hörsinga, Löfflera i t. p. Czy ci to nie wystarczy? Ale, ty powiesz: to Niemcy! Bracie! a czy ty sądzisz, iż polscy towarzysze w innej skórze?

Co najbrudniejsze w tych towarzyszach, to to, iż nie wedle zasad swej niemożliwej teorii się układają, nie wedle głoszonych haseł idą, lecz płaszczyk przewracają wedle wiatru i swoich potrzeb. Żyją w najjaskrawszej sprzeczności ze słowami swemi. Gdybyś tak zbliśka miał sposobność przyjrzed się życiu Franciszka Morawskiego, stolarza, który z żydówką Golde do Katowic przed laty przybył, by po polsku socjalistycznie apostołować na Górnym Śląsku, gdybyś znał takiego szewca Biniszkiewicza,

różnicą między jego słowem a czynami, ten młot zabijający kapitalizm, by go skwapliwie dla siebie ubijać, gdybyś znał Ignasia Daszyńskiego, filara galicyjskiego socjalizmu, subwencjonowanego tak gorliwie przez Żydów galicyjskich i gdybyś spojrzał za kuliszy towarzyszerji, ocknąłbyś się. Daszyński nie jada żuru z kartoflami, nie zna czwartej klasy i gdy zasiada w najwykwintniejszych hotelach, wówczas pomyślałbyś w prostocie swojej: hm, dobrze temu gadać o biedzie cudzej! Gdybyś warchoła denuncjanta najobrzydliwszego Rumpfelda znał bliżej, albo gdybyś był widział obżartego nieraz Biniszkiwicz, jak i co robił w Lutni w Sosnowcu, lub jak leżał na trawniku obżarty pod kapliczką tamże, naśmiałbyś się sam z siebie, że idziesz na lep tych apostołów wolności „czerwonej”. Wierza mi, między Hörsingiem i Löfflerem, a Biniszkiwiczem li ta tylko różnica, iż ci Niemcy, a ten Polak.

Powiedźcie mi tylko jedno, co to znaczy? Dlaczegoż to socjaliści polacy tak z Żydami ręką w rękę idą i dlaczego oni proforma zwalczają bolszewików, gdy tymczasem w „Robotniku” warszawskim i „Naprzodzie” widzisz pełno bolszewików? Dlaczego i jakim sposobem Rumpfeld, Biniszkiwiczów redaktor, miał takie łaski u policji katowickiej i wiedział wszystko przez nią i od niej. Mnie pierwszego ostrzegł i zmusił do schronienia się, a potem w najważniejszym momencie, gdy wydał bezprawnie w celu stworzenia nieszczęścia i zamętu w czołzie narodowem, hasło do powstania, czmychnął do Polski bezpiecznej i tu oskarżył mnie jako bolszewika z jednej, a jako prowokatora z drugiej strony. He, towarzyszu, szlachetny Rumpfeldzie! gadaj! dlaczegoś ty to uczynił? To tak postępują ludzie z charakterem, by usunąć przeciwnika politycznego? Sądźcie teraz, bracia moi górnoślązacy, między takim Rumpfeldem wichrzycielem i denuncjantem i tchórzem a mną, co do najgęstszego ognia poszedłem, jak mam świadków, choć wątpliem w udanie powstania, przeciw któremu poprzednio z powodu różnych okoliczności jaknajusilniej protestowałem. I te przybłędy, co mają świadomie i celowo wodę, by w niej złote ryby dla siebie łowić, te gady bryzgają, jak faryzeusze na Chrystusa, jad nienawiści i podłości na mnie, co mienie i zdrowie za braci mych poświęciłem. I taki tchórz Rumpfeld boił się męstwa i odwagi, bo szukałem go naderemnie, by go spotkać i publicznie wypoliczkować po górnośląsku. He, towarzyszu! dlaczego mnie się teraz boisz? Czy

nawet tyle czoła śmiałego nie masz, by się na policzek narazić? Nie zapieraj się, mój kochany intrygancie, tego, coś w Sosnowcu popełnił, bo mi urzędnik z podkomisarjatu w Sosnowcu, świadek Augustyn Swider, dał dowody na ciebie.

Włec uważaj, górnośląski bracie: najpierw czerwony Berlin nam dał policzek i na przedstawiony postulat autonomji narodowej dla nas przysłał nam Hörsinga, a potem czerwona Warszawa z Arciszewskim, dała nam drugi, rzucając ze względów koleżeńskich na Berlin, nasze prośby o pomoc do kosza.

Pamiętajmy to dobrze i wyrzućmy każdego towarzysza, co nam na nutę: Boże, coś Polskę.... na Górnym Śląsku chce do serca przyspiewywać, za drzwi. Nie wiercie mu, bo to obłuda, w której oni są mistrzami. Zapytajcie się raczej o blians kieszonkowy Biniśzkiewiczza, t. j. ile i co miał, nim do nas przybył, a co i ile teraz posiada, po kilku latach zawracania nam głowy i krętaactwa między nami. To samo dotyczy tych wszystkich zbawców-przybyszów do nas. Bo my Górnoślązacy jeszcze pod płaszczykiem narodowym złotego runa nie zdobyliśmy, przeciwnie, jedną wetenkę po drugiej trzeba było tym dać, co tego chcieli.

Zasiane zaś w Warszawie między Ślązakami i Poznania-kami ziarno nie było bez plonu. Zeszło powoli, ale zeszło.

Rząd socjalistyczny wówczas o mało zsocjalizowany Górny Śląsk nie dbał. Co mu o ten lud chodziło, do którego nie czuł sympatji i który mu był obcy. Najmniej zaś przypadało do gustu, by z powodu Górnego Śląska popaść w drażliwy konflikt z Berlinem, duchową kołyskę socjalizmu. Tam żyd zapanował, a żydzi polscy rej w polskim socjaliźmie widzą, włec pod jakiś niewłaściwy adres się z projektem moim udałem. Wie o tem Korfanty i Pośpiech.

Socjaliści polscy włec Górny Śląsk zaprzędali, to jest fakt niezbity.

Nie jest mi tu jeszcze danem, jak ławem to było w początku rewolucji oswobodzić Górny Śląsk.

Plan był najskrupulatniej przygotowany. Wystarczyłaby mała pomoc z pewnej strony. Do krwi przelewu by wogóle nie było przyszło. Plan ten w przeciągu kilku dni był tak pewny, jak amen w pacierzu. Ale to już zdawien dawna słynie ta polska nieudolność pochwycenia w danym momencie należytej inicjatywy i wykorzystania konsekwentnego momentu

i okoliczności. Przyjdzie chwila wolniejszego słowa i wówczas się każdy przekona, że Śląsk Hörsinga i wszystko zło nie Berlinowi, nie sobie, a Warszawie ma do zawdzięczenia.

Do wykorzystania tego momentu postanowiłem wszystko na kartę rzucić. Poświęciłem egzystencję, poświęciłem czas i pieniądze a przede wszystkim nerwy moje. Biegałem do Dąbrowy i Sosnowca po obiecaną mi przez Arciszewskiego odpowiedź przychylną. Do dziś dnia czekam. W Sosnowcu dałem sobie pracę szczególną z działaczem stronnictwa narodowego związku robotniczego p. Łaszczyńskim na własny koszt zrobić. Przeszczepienie narodowego związku robotniczego na Górny Śląsk wiele mi sprawiło roboty i nienawiści Biniszkiewicza.

Wracając na Górny Śląsk a przeczuwając z doświadczeń przeżytych w Polsce, iż krucha być może pokładana nadzieja w pomoc nadwiślańską, jałem się samopomocy organizacji, tak politycznej, jak i orężnej, celującej do narodowej swobody, względnie oswobodzenia Górnego Śląska.

Każdy z jakim takim pojęciem politycznem i psychologizmem przyzna, jak trudne to dla kogoś przedsięwzięcie. Trzeba u nas specjalnych dróg szukać, by wynaleźć właściwą drogę średnią do serc górnośląskich i wprowadzić na tor polityczny społeczeństwo górnośląskie polskie, do samodzielnego prowadzenia polityki swojskiej, jakiej jedynie potrzebować możemy do zbożnego pożycia na ziemicy naszej. W polityce muszą być kierownicy i kierowani. Społeczeństwo składa się zaś z różnych warstw, kategorii, partji i charakterów. Spójrzmy z czego się składa społeczeństwo nasze. Odpowiedź jedyna na to: z samych robotników i niezamożnego ludu rolniczego. A więc z samych kierowanych. Sfera ta zaś połamana jest zapatrywaniami. Są zdeklarowani przeciwnicy polskości, którzy niemają liczbę przedstawiają. Jest kilku krzykaczy, na dwóch ramionach płaszczyki noszących, dziś dla Polski w niebogłosy wołających, wczoraj jeszcze Wilhelmów i Hindenburgów na ścianach mieli. Do dzieci po niemiecku mówią, przed „panem niemieckim“ głęboka czołobitność. Jutro gdyby wiedzieli, iż Śląsk przy Niemcach zostanie, czempredzej na Polskę wyzywać będą. Spryciarze i spekulanci polityczni. Są potem ludzie dobrej woli, przez względy na rodziny, przyjaciół, krewnych cicho i spokojnie i z zapalem do Polski ręce wyciągający.

Ale to wszystko naród nie przedstawiający jeszcze społec-

czeństwa, bo mu brak inteligencji, to jest ludzi wykształconych, zdolnych do prowadzenia społeczeństwa i maszynierji państwowej i aparatu urzędniczego. Z wyjątkiem kilku księży i adwokatów, jednostronnie fachowo wykształconych, mogących słabo interesy narodowe zastąpić, jest cała inteligencja niemiecka. Z Polski lub Poznańskiego mieć nadzieję otrzymać inteligencję i urzędniczy aparat, to płonna nadzieja, bo Polska tejże sama nie ma i choćby miała, nie może na terenie górnośląskim należycie funkcjonować.

Pozostaje więc jedna myśl ukształcenia prędkiego w społeczeństwo nasz lud. To utopia! To sztuczne szczepienie donkiszoterji w umysły, skłonnych, które się już w organizacji górnośląskiej P. O. W. gorzko pomściło. Czyż to nie czysta parodja, patrzeć na taką duszyczkę górniczą, umiejącą jako tako razwę swą napisać, jak jegomość pan Kuźma z Siemianowic, który jest mocno przekonany, iż ma zdolności nadzwyczajne i może być komisarzem. Albo czyż śmiech człowieka nie zbiera, gdy się patrzy jak mleczarz Morgola z Laurahuty w pocie czoła stara się oblaść całą Polską, by ją przekonać, że jemu się należy wyższy jakiś stólek. Pan Drejza z Siemianowic przeznaczony na generalnego dyrektora poczt, pan Sowiński na burmistrza i t. d. Co z takiej donkiszoterji dyletantów karjerowiczowskiej dążności wynikło w Polsce samej, po usunięciu jakiego takiego aparatu urzędniczego, czy to starego rosyjskiego, czy okupacyjnego niemieckiego, widzimy ze strasznych stosunków, jakie w Polsce panują. Rząd obalają po rządzie i coraz to gorzej porządku polskie stają się znów przysłownemi w świecie. Na domiar złego żydów tam i partji do niezliczenia, a gdzie już żyd, tam porządku nie będzie. On wiecznie wichrzy, szczególnie w Polsce, przeciw której się uwzieli, a która im nie śmie nic zrobić, bo mają opiekę żydów amerykańskich i angielskich nad sobą. Żydzi to potęgą na świecie, kto to zna. Żyd zgubił Rosję z zemsty za pogromy, żyd zgubi i Polskę. Dwa tysiące lat spiskują wytrwale w Europie i dopinają swego. Już dopięli wiele, przedewszystkiem złoto i srebro całego świata. Przed tą potęgą biedna Polska się nie ostoi. Głupie to jest i zbrodnicze, naszemu prostemu ludowi o skarbach i niebie w Polsce opowiadać, lepiej mu serce zapalić ku biednej Polsce, ku nie-szczęśliwej, jak kiedyś, gdy w niewoli była, to prawdziwy ideał i patryotyzm będzie, a nie kłamstwem i illuzjami kielbas i

śloniny i białego chleba i bogactw, których biedna Polska dziś jeszcze nie ma za tyle. Szczerzej jest, biednego udręczonego brata pokochać, jak bogatego. Polityka obiecanek, blagi uwieńczy się tak, że was pierwszych naród śląski popowiesza, coście to robili, bo robicie to samo, co Niemcy podczas wojny przez ich: „wir werden und müssen siegen“! Dziś niejeden Niemiec po głowie się drapie. Krzyczycie na hakatyzm pruski a stwarzacie jeszcze gorszy — polski. Pamiętajcie: ne quid nimis! Poznaniacy dlatego na gwałt zmuszają niemieckich urzędników do pozostania na stanowiskach swoich. Dobrze i mądrze robią. Wynik tego oczywisty, bo w Poznańskim się relatywnie najlepiej z całej Polski dzieje. Próbę więc, a raczej fałszywe eksperymenta, zrobić najprędzej z naszej tej sfery ludowej aparatu urzędniczego, jako surogatu niemieckiego i inteligencji zawiodły w Polsce przedewszystkiem w powstaniu fatalnie. Niefabrykowało się nierobisiów, urwisów i bandytów. Trafnie to przewidywał pan redaktor Brzeskot i krytykował na jednym zebraniu poufnym w Katowicach w domu p. Przybylskiego. Ja również podzieliłem jego zdanie i śmiałem się z organizacji P. O. W., i przepowiedziałem skutki złego. No, czy się to dosłownie nie ziściło? Taksamo głos podnosi w Gazecie Ludowej jakiś ksiądz N. w tej kwestji.

Brak nam więc społeczeństwa i surogatu inteligencji i urzędnikerji niemieckiej. Z tem faktem się liczyć potrzeba i iść ręką w rękę z temi Niemcami, co do zgody i życia z nami w ramach nam przyznanych równych praw są gotowi. A jest tych Niemców i zniemczonych ślązaków spora liczba, ale i my musimy się zgodzić z ich życzeniami, które im potrzebne a nam konieczne. Do powstania zgłosiło się wielu Niemców i bili się jak lwy za nas, a źle zrobiono w Polsce, że tych ludzi poaresztowano i dręczono, bo to Niemcy! To barbarzyństwo i hańba. Absolutnej polskiej większości tu na Śląsku nie mamy. Inteligencji rodzimej mało, bo to co mamy, to poznaniacy, a ci też nie mają w większości narodu naszego najzupełniejszego zaufania. Rej tu wodzą, ale nie dla nas, lecz dla siebie. Najpierw, iż ujawniają się jako sprytni geszefciarze i gdziekolwiek, choćby na trupie twoim, szukają zarabiać. Polski duch, to płaszczyk ich geszeftu, i spore kapitały tu porobili wszyscy na dobroduszości śląskiej. W zamian zaś za to nic ci nie dają, jak piękne religijne i górno-

lotne polskie słówka, których się nie najesz, tylko się nimi upolisz. W zawróconej ci tak głowie, ani się nie spostrzeżesz, jak poznański brat sprytniejszy skórę ci skroi. Weźmy przykład: Towarzystwa śpiewu miejscowe płacą do okręgowych wydziałów tak zwanych „kołów“ dziesięć fenigów od członka. Ładne z tego sumki się uzbierają. Gdzie te pieniądze idą? A co w zamian dostają towarzystwa za to? Obłecanki. Założone zostały w miejscowościach t. zw. Towarzystwa kobiet dla Polek. Te towarzystwa mają płacić do „wydziałów“ również po dziesięć fenigów od członkini, no — i co w zamian za to? Ci panowie poznańscy i panie, co siedzą w tych wydziałach, wiedzą o tem. Wszędzie widać „geszeft“! Opowiem tu jaknajjaskrawszy przykład brzydkiego tego patryotyzmem polskiem okraszonego geszefciarstwa:

Pan Szymkowiak, mistrz krawiecki z Katowic, tak długo się kręcił koło towarzystw Polek, gdzie jego córusia, w wiecznej walce z bytomskim wydziałem wyższym, jest sekretarką, aż dopiął celu. Wnet ujawnił się patryotyzm p. Szymkowiaka, jako organizatora Towarzystw Polek. Sprowadził płótna i białatów szychu i drzewa i zaczął wmawiać towarzystwom taką słiczną dialektykę, że gdzie towarzystwo, tam i sztandar być musi, że oszołomione takimi argumentami Górnoślązaczki, hurmem zaczęły sztandary u p. Szymkowiaka zamawiać. A pan Szymkowiak? Błogosławił Polskę i Śląsk Górny, bo mówią, iż w krótkim czasie zarobił na sztandarach i towarzystwach Polek dwadzieścia tysięcy marek. O tem śpiewają wszystkie polskie wróble z dachów w Katowicach. Nie ma to, jak szczerzy, gorący polski brat poznański.

Zabranie się do nagłego urobienia politycznego naszej warstwy polskiej na Górnym Śląsku, by ludowi temu radykalne uświadomienie swojego położenia wpolić, by go uzdolnić do surogatu funkcjonariuszy niemieckich, do ujęcia steru w swoje ręce, było tyżykownem przedsięwzięciem. Już Rady Ludowe okazały w tem względzie swoją nieudolność. Czy one powstały przez samorzuty samozwańców, czy były postawione na nogi przez czysto demokratyczny plebiscyt. Trafnie ich scharakteryzował rzeczony ksiądz N. w Gazecie Ludowej, trafniej jeszcze p. Brzeskot z Bytomia. Wystarczy za przykład wziąć jedną taką i drugą Radę Ludową z okolicy. Rada Ludowa niejednokrotnie składała się z ludzi z bardzo krótkim

widnokreślę zasad i polityki. Pominięci zostali ludzie innego zapatrywania lub lepszych pojęć i urażeń, stworzyli znów bloki przeciw poszczególnym radnym. Ztąd intrygi i zaczepki osobiste i straszające się obozy wrogie, walczące między sobą na śmierć i życie. W Michałkowicach, powiatu katowickiego, poszedł prezes Rady Ludowej raz na zebranie spartakusów do Siemianowic. Tu mu się bardzo rozprawy organizatora Szostka spodobały. Zaprosił go wtedy do Michałkowic, utworowawszy mu wpierw wszelką ścieżkę do pomyślnej agitacji i rozwoju jego idei, i nuż Michałkowice całe miały pełno spartakowców. Pan prezes nie wiedział, co z tego wyniknie, a wynikło to, iż pół Michałkowic w parę dni potem ruszyło procesją z muzyką do Laurahuty, skąd pod wodzą Szostka, który pierwszy potem smiół, mieli iść do Polski. Przyszło do starcia z wojskiem i do śmierci a następnie do procesów, w których wiele ofiar dostało się na lat kilka za kraty. A wszystko to spowodował pan prezes Rady Ludowej.

W sąsiednim Bytkowie założyłem Radę Ludową przez wybory publiczne. Mimo protestów moich wybrano mnie na jej prezesa. Ja z mej strony przeznaczyłem robotnika Tomasza Dziubińskiego na zastępcę mego. Dziubiński, który cierpi na szaloną próżność, nie mógł przeboleć tego, iż jego nie wybrano prezesem. Od tego czasu zapalał śmiertelną nienawiścią do mnie.

Pierwszem aktem tej nienawiści było, iż zfałszował spis członków Rady Ludowej tak, iż mnie z niego wykreślił, a siebie podpisał jako prezesa. Następstwem tego było, iż Rada powiatowa nie mnie, a jego na posiedzenia powiatowe zapraszała. Dowiedziawszy się o tem, skarciłem go na posiedzeniu i naprawiłem błąd ten w Katowicach. Pomimo tego, skwapliwie na posiedzenia powiatowe uczęszczał i tam mimo protestów moich do głosu go dopuszczano. Protokoły Rady musiałem sam pisać, a gdy później poszedłem do powstania, sekretarz zniszczył takowe. Dziubiński zabrał pieczętkę bezprawnie do siebie i wystawiał świadectwa ludziom, którzy nagle skwapliwie do Polski po szperkę jako patryoci biegać zaczęli. Co jeszcze! Gdy wydziały powiatowe towarzystw Polek zaczęły organizować towarzystwa lokalne, i między innemi i żonę moją jako delegatkę zaprosiły, polecając jej zorganizowanie towarzystwa kobiet w Bytkowie. Dziubiński, typ prostoty i nieokrze-

sania chłopskiego, jał się także do organizowania tego. Zabroniłem mu to. Kobiety pod wodzą mej żony się same zorganizowały, a Dziubiński z zemsty nie pozwolił żonie i córkom swym wstąpić do tego towarzystwa. Nadto mści się na tem towarzystwie, gdzie i jak może i poprzysiął mu zagładę. Tak robią polacy. Gdy przyszło do pochodu pierwszego maja do Katowic, Dziubiński użył wszelkich sztuczek, by temu pochodowi przeszkodzić. Zwołał zebranie związku zawodowego i doprawdy trzeba go się było prosić, by ze względów na solidarność narodową rozpuścił zebranie. Myśmy z sąsiednimi procesjami przeszło godzinę musieli czekać, aż się z powodu Dziubińskiego trochę narodu na placu zebrało. Przyszedł narazcie i Dziubiński z fajką w gębie, uśmiechnął się ironicznie i — poszedł do domu. Za skandal taki, ukamionowali by ludzie innych narodów takiego patryotę. Tu w Bytkowie odgrywa Dziubiński największą rolę i chce być sołtysem. Do powstania odmawiał ludzi.

Najpyszniejszym atoli dowodem patryotyzmu Dziubińskiego i polaków w Bytkowie jest to:

Gdy musiałem uciekać, względnie kryć się przed grenszucem i nawet interes zamknąć, znaleźli się w gronie polaków tacy, co mnie wydać ślepaczom w ręce chcieli, aby przeznaczoną na mnie premię pieniężną kilku tysięcy marek zarobić. Z Dziubińskiego wiedzą utworzyła się komisja ludzi, co chcieli nawet żonę mą i dzieci mieszkania pozbawić, zmuszając groźbami kopalnię, od której mam interes piekarski najęty, by stojącą piekarnię innemu, co ich przekupił oddała. Niemcy atoli kopalni byli względniejsi dla idealisty polskiego i odmówili tego. Czy to bracia polacy? Ale to jeszcze nie koniec. Przy otwarzaniu komisji żywnościowej klóciłem się z sołtysem przeszło pół godziny o Dziubińskiego, by go za mnie do komisji teje przypuszczono. Dziubiński mi się za to w ten sposób odplacił, że gdy już był na miejscu i moja żona na nowo piekarnię otwiera, on pierwszy zawzięcie protestował przeciw przydzieleniu jej mąki. Podczas gdy ja za Polskę poszedłem walczyć, zbuntował Dziubiński całą z mej przecieź inicjatywy stworzoną Radę przeciw mnie i — słuchajcie narody! Kuchnię amerykańską, zamiast oddać w ręce Towarzystwa Polek, oddano niemkom. Pieczywo teje kuchni amerykańskiej, zamiast oddać mnie, jednemu polakowi, oddano niemcowi, a gdy ten

falszował, minęło mnie, a oddano drugiemu, sawziętemu wrogowi polskiemu. Ale to jeszcze nie koniec. Wybory do Rady gminnej chciano bez Towarzystwa Polek odbyć. Czempredzej postarałem się w sam czas, by Polki po kartki wyborcze posłały i do wyboru poszły. Wybory wypadły wyśmieniele, bo na dziewięć radnych osiem polaków przeszło. Pomimo tego poszedł Dziubiński do Rady Powiatowej i tu mnie oczernił, że wybory źle wypadły, bo ja na Polskę gadałem i od wyborów odmawiałem. Rada powiatowa wyznaczyła komisję pięciu nie najmądrzejszych ludzi do Bytkowa; a ta bez wiedzy mej poszła do Dziubińskiego i popleczników jego, a więc przeciwników mych i tu osądzono mnie jako zdrajcę narodu polskiego! Ja radziłem komisji tejże, przewodniczącemu, dentyście Różanowiczowi w Katowicach, by mnie o przybyciu komisji uwładowić, a ja zwołam zarządy towarzystw polskich i Radę Ludową i osądzimy sprawę, kto jest lepszym polakiem, względnie kto więcej poświęcił. Ja, co kałamarza poświęciłem i pióro i setki, dane Radzie Ludowej i tysiące strat i utratę zdrowia, brałem udział w powstaniu z dwoma braćmi i licznymi krewnemi, nawet żoną moją, albo Dziubiński, fałszerz dokumentu, ambitny chłop warjat, co synom od Hallerczyków uciec dał i żonie i córkom zabronił wstąpić do towarzystwa i grosza nie dał i obóz polski, który ja w Bytkowie stworzyłem, z zaciekleścią, z śmiertelnej nienawiści rozbił.

Pan Różanowicz, mieniący się także gwiazdą jurysprudencji, odrzekł mi opryskliwie: Iż to jego rzecz jak on to zrobi. No, i zrobił na korzyść Dziubińskiego. Dalej! Postawiły Polki z Bytkowa do gminy wniosek po polsku pisany, by na gwiazdkę dla biednych dzieci im gmina udzieliła za zapłatę trochę mąki i syropu i cukru. Sołtys, który z własnej inicjatywy w Michałkowicach niemieckiemu Frauenvereinowi i tow. Polek to udzielił, poparł ten wniosek i w Bytkowie. Lecz o dziwo! Polskiego podania — polscy radni ani Dziubiński przeczytać nie umieli! przeczytał im go niemiecki sołtys, a polacy radni z Rady Ludowej i Dziubiński odmówili unisono tej pomocy polskiemu Towarzystwu Kobiet, ale skwapliwie pośpieszyli uchwalić gwiazdkę dla urzędników gminnych, tak samo jak w małej Dąbrowce polscy radni bogatemu sołtysowi Sidłowi, znanemu polakożercy, którego powstańcy do Polski pojмали, na gwiazdkę porządną sumkę uchwalili. Zrobili tak, jak kiedyś

polak Piotr Mańka, którego synowie teraz polaków odgrywają, przed laty głosem swoim roztrzygnął, by Małą Dąbrowkę na Eichenau przechrzcić.

A to już chyba najcierpliwszemu i najchłodniejszemu człowiekowi cierpliwości zbraknie. Pyta się człek sam siebie, czy z warjatami, czy z szatanami ma do czynienia. I to polacy! Jeszcze Górnego Śląska przy Polsce nie ma, a już tak się popisują i nie patrzą, co te inne obozy na to mówią. Zaczynają się już wróble z nas śmiać wszystkie i gadają sobie o tej bratniej zgodzie, o tej solidarności i miłości polskiej. Rozum staje i sumienie drętwieje, gdzie człowiek ma się obrócić. A tu te łotrzyki w płaszczech polskich, bo inaczej tej zgrał nazwać nie można, zaraz ci wygrażają: czekaś no! jak tylko do Polski Śląsk Górny przyjdzie, będziesz pieronie wisiał! Krytyki nie wolno na łotrów, szubrawców publicznych słówka pisać, bo oni się trzymają za uosobienie Polski, a krytykując ich, obrażasz Polskę i jesteś „zdrajcą“!

Wnę takie wyniki dało nam społeczeństwo nasze. Rozpatrzmy to jeszcze z innej okropniejszej strony. Trzymać się będę ściśle faktów przez siebie samego doświadczonych i spostrzeżonych.

Życząc z całej duszy Górnemu Śląskowi wolności i rozwoju narodowego, choćby nawet w ścisłym połączeniu z Polską, przewidywałem konieczność stworzenia mu siły zbrojnej, która by się w dwojaki sposób wykorzystać dała. Najpierw, do ewentualnej obrony militarnej, a potem po zastąpieniu znienawidzonej policji pruskiej przez sformowanie kadr milicyjnych.

W tym celu powziąłem myśl zorganizowania pod okiem władz pruskich legalnych związków wojskowych polskich, w miejsce niemieckich. Wojskowe związki te miały w prędkim tempie objąć cały Śląsk Górny i utworzyć zupełną armię, zorganizowaną w celach wyżej wymienionych. Myśl tę propagowaną uchwycił także p. Drejza z Siemianowic i jednocześnie zawładnęły się takie związki wojskowe w Bytkowie i Siemianowicach, gdzie go założyło grono amatorów teatralnych w Bytkowie, a którym dałem do tego pobudkę. Do organizacji tejże przyłączył się i pan Adam Postrach w Katowicach. Zeszliśmy się tedy we troje, t. j. Drejza, ja i Postrach u ostatniego, obradując nad organizacją i rozwojem jej. Pan Drejza o dzisiejszej wojskowości pojęcia nie ma. Potrzeba do takiego

organizowania już trochę więcej, niż być żołnierzem. Trzeba znać przynajmniej teorię wojskową. Trzeba znać organizację, historję, zasadę taktyki, kartografię, rodzaje broni i techniki, wywiadowczość i inne gałęzie sztuki wojennej, krótko mówiąc, trzeba być sztabowcem. Ludzi z sztabowem wyszkoleniem brak na Górnym Śląsku, tembardziej takich, co i chwilę polityczną szczeniakiem opanować zdołają. Nawet po polsku czujących oficerów nie posiadamy wiele, parę tylko tak zwanych oficerów rezerwowych lub z trzechmiesięcznym kursem oficerskim, niezdolnych do sztabowej pracy organizacyjnej. Przyjąłem wtedy na siebie obowiązek zorganizowania sztabu, bo to najgłówniejsze w każdej organizacji. Funkcje organizatora i szefa sztabu, z zastrzeżeniem prowizorycznego, przyjąłem na siebie.

Wojackie związki miały w zarysie taką podstawę. Członkiem mógł być każdy żołnierz. Powołał się żołnierz w tajemniczość w cele związku i próbowało jego charakter. Na czele związku stał zarząd z prezesa, sekretarza i kasjera. Zarząd ten był tylko zewnętrzną figurą i nie posiadał żadnych kompetencji w celach militarnych. Był pozorną dekoracją przed władzą. Właściwą duszą był komendant. Jego zadaniem było formowanie sekcji, plutonów, kompanji i bataljonów z bieżącym czasem i liczby członków zaprzysiężonych. Z bataljonów tworzyły się pułki i t. d. Na czele stał sztab. Tenże składał się z trzech samodzielnych Naczelników, t. j. naczelný prezes, naczelný komendant i naczelný organizator, czyli szef sztabu. Pierwszym miał być Drejza, drugim Postrach, trzecim, aż do odnalezienia odpowiedzialnego sztabowca, ja.

Sztab ten miał być podzielony na resorty czyli oddziały, funkcjonujące samodzielnie, na których czele stać mieli funkcjonariusze, podlegający tym trzem. Organizm ten sztabowy spoczywał na szablonie pruskim. Wyrobiono zaraz historję organizacji, konstrukcję jej, karty, bibliotekę i plany taktyczne, względnie mobilizacyjne, oraz szemat sygnałów, rozkład kolejowy, komunikacji i wywiadów.

Ledwośmy to stworzyli i zaczęli powiat katowicki z Postrachem organizować, gdy się dowiaduję, że w Bytomiu jakiś komitet wojskowej organizacji rezyduje.

Komitet ten składał się z samych dyletantów wojskowych. Tenże komitet reprezentował organizację P. O. W., spoczywającą

cej na zupełnie innych, dla Górnego Śląska najzupełniej nie stosownych zasadach pracy konspiracyjnej. Już nazwa skład, brak programu i podziału w kompetencjach i pracy, były nie-szczęśliwe i wzbudzały uśmiech litości w rzeczywistym wojskowym talencie i krytyki. W skład komitetu wchodził pp. Grzegorzek, Wolski, Lampner, Rumpfeld, Lazar z Lipin i Drejza jako naczelnik, o czym nam w Katowicach nie powiedział. Jak ten komitet w Bytomiu powstał?

Otóż wyżej pisałem o mojej podróży do Warszawy z myślą utworzenia tego, cośmy teraz w Katowicach samodzielnie zrobili. Myśl ta przedostała się do Poznania. Ja czekałem daremnie na odpowiedź przez Sosnowiec lub Dąbrowę, a tymczasem przedostało się do Poznania i tu z wiedzą Korfantego przysłano na Śląsk nieznanego nam i niebardzo zdolnego młodego człowieka Wisego z pieniędzmi i pełnomocnictwami. Wise przybył do poleconych mu wymienionych, mało bardzo o wojskowości pojęcia mających panów, i tak powstał komitet wojskowy z niewojskowych. Był to błąd nad błędy, który się, jak przewidywałem i jak się później okazało, srodze na sobie pomścił. Panom tym od wielkości misji pozawracało się formalnie w głowie. Najgorsze to, iż na urągowisko wszelkiej zasadzie wojennej, każdy z nich miał jednakowe kompetencje i funkcje, a jeszcze gorzej, iż Komitet ten wyszukał sobie w każdym powiecie ludzi, którzy mu się nadarzyli, tak zwanych komendantów powiatowych, którym płacili miesięcznie kilkadziesiąt marek, w końcu po tysiąc marek. Każdy komendant powiatowy miał pomocnika organizatora z miesięczną pensją siedemset pięćdziesiąt marek. Komendanci powiatowi stanowili rodzaj rady wojennej z komitetem na czele. Już początek tak niefortunny sprawił wiele kłopotów, bo każdy komendant stał się „głosem” i kacykiem samodzielnym. Korupcji i intrygom otwały się całe wrota. Spostrzegł to dość niegłupi pod niektórym względem pan Drejza i wybrał system sztabowy ściśle określony w Katowicach. Zwołał komitet do rady z wszystkimi komendantami i zeszliśmy się razem. Tu można było dziwy podziwiać. Nie trzeba było być wielkim psychologiem, by nie zauważyć w iskrzących się oczach i drżących rękach zdenerwowania, które nastąpiło. Grzegorzek miał z Poznania poleconą kasę, był więc słońcem potęgi, koło której wszystko krążyło. Czuł to i rej wodził. Jest to zresztą

człowiek bardzo dobry i szlachetny, ale nie bez błędów a największy, iż jako homo novus w sprawach wojskowych, a jako Generalzahlmeister uległ czarowi personae gratiae i majoryrował całe grono. Najdziwniejszą osobą w tem gronie był filozof Lampner, najbardziej głupią Rumpfeld, socjalik. Tychórzów już większych jak tych dwóch na świecie nie znajdziesz. Drejza szukał drogi, by komitetowi wtłoczyć zasady katowickie na karki. Lecz ci odgadli od razu, żeby im tem dumne głowy z tych karków pozlatywały i z wściekłością rzucili się na Katowice. Zagrożeni w swych już podpalonych fantazjach, komendanci stanęli po ich stronie i już pięści bohaterstwa podnosili przeciw Drejzie i Postrachowi. Rozleciało się grono wodzów przyszłego wojska św. Jadwigi, które odtąd doprawdy spać zaczęło, szukając nie poświęcenia i ideałów, lecz obfitego deszczu banknotów i posad obiecanych.

Drejza znalazł się teraz w przyjemnej sytuacji. Był podwójnym naczelnikiem, t. j. w Katowicach i Bytomiu, lecz de facto tylko dla dekoracji. Postanowił tedy spłatać figla obym obozom. Pojechał do Poznania, przedstawił sprawę tak, iż w nim uznano powołaną z natury do centralnego kierownictwa osobę i dano mu patent na decernenta dla spraw wojskowych Górnego Śląska. Mając ten patent w kieszeni, bał się wzbudzić zazdrości w niesfornych umysłach komendantów i nowego spłatał im figla. Wybrał się zupełnie do Polski, w Sosnowcu rozłożył kwaterę, stworzywszy tu coś, w rodzaju ministerstwa wojny, z którego też to powodu uszczypliwie „Kriegsministrem“ go na Śląsku przezwano. Tym zaradczym i przezornym krokiem czworaki cel osięgnął. Najpierw usadowił się silnie w siodle stanowiska swego, uszedł hulaśliwej krytyki ludzi na Śląsku, zabezpieczył skórę swą przed pruską władzą i co najgłówniejsze, mógł sobie pozwolić na dobrą kuchnię, którą Sosnowiec mu, choć za drogie i nie swoje pieniądze, dał. Przykład Drejzy pociągnął innych do takiego samego postępku, bo: verba tantum docent, exempla trahunt. Bohaterzy górnośląscy, którzy za pieniądze im dane lub posady obiecane, tak raptownie życie swoje Polsce zaofiarowali, raptowniej jeszcze uznali, drapnąć za Drejzą i ku Drejzie za granicę. I ci nie byli głupcy. Otoczyli się aureolą męczenników narodowych tak tanim i wygodnym fortelem i zaczęli, jak Drejza „żyć“ na koszt polski. Byli tam poważani i pill i jedli, co dusza raczyła. Przyjął ich pan Drejza, stwo-

rzywszy sobie sztab okazały i farsa patryjotyczna, komedja narodowa się zaczęła. Porobił ich pan Drejza oficerami, a ponieważ do życia oficerskiego, szczególnie polskiego, należy prócz grubej pensyjki i krzywej błyszczącej szabelki, ładna kobietka, których chciwych miłości w Polsce nie brak, tłusta przekąska i smaczne napoje, więc wiara i sztab Drejzy wnet do tych atrybutów oficerskich w Polsce przywykli. W wesolej zabawie i przy codziennych dźwiękach orkiestry, sycl, życia w Sosnowcu używali. Naród na Śląsku — nic nie widział, nic nie słyszał. Pieniądz suto płynął do kieszeni. Jak suto płynął ten grosik do kieszeni, niech posłuży fakt następujący:

Dla łączności z Górnym Śląskiem stworzył Drejza służbę kurjerowską. I tę oddał w ręce wyłącznie Laurahuckie. Laura-huta, ta Laurahuta helpi się zdawna swą polskością. Dla-czegóby nie! Przecież z niej pochodzi Korfanty, mieszka w niej Sosiński, no i pan Drejza. Koło Drejzy więc połączyli się wszyscy zbawcy polscy, młodzieniaszki, pochodzący z Polski a przesłanęci rafinementem ulicy Warszawskiej. Rewolucja rosyjska 1906 roku ich tu przygnała. Są to przeważnie robotnicy, którzy umieją ubrać się w smoking i cylinderek. Ludzie na sumieniu i zasadach zbankrutowani, lubiący się bawić, dziewczki uwodzić, kobiety bałamucić i żyć z dnia na dzień. Skąd ci ludzie z pod ciemnej gwiazdy przyszli? Wszelki spokój, wszelką zgodę, porządek pod maską ślicznego romantyzmu i ultrapatryotyzmu, jak szarańcza zielone pole niszczyli, pozostawiając po sobie potrzaskaną harmonię duszy i ruiny moralne. Byłego czasu zbałamucili podstępem swem przyjacielowi narzeczoną, wsadzili klin zazdrości i nienawiści między dwie rodziny, stworzyli prawdziwą Romeadę i koniec tego był bardzo smutny, bo zazdrosny, rozwścieczony, zdradzony narzeczony pchnął niewierną kochankę nożem, nie jej przytem nie zrobiwszy i z tego długi proces, krzywoprzysięstwa i długie więzienie dla polaka brata, co się wdał z Laurahutą, śmiejącą się, skaczącą na weselu niewiernej kochanki z nieszczęścia głuptasia, co to zrobił. Tacy ludzie „polscy“ to czereda Drejzy, to filary polskości i przyszyli Areopag laurahuckiego Magistratu. Ci sami ludzie po latach, kiedy ów nieszczęśliwiec zdradzony dawno zapomniał przecierplaną krzywdę i nową narzeczoną zaślubić zamierzał, postanowili mu tego samego figla spłatać i znów pod maską złudnego patryotyzmu wciągnęli naiwna ko-

biłę w swę sieci, by nowe nieszczęście zbroid. Stworzyli nie-male znów zgorszenie, lecz szczęściem dziewczyna zmadrała zawczasu i wyrwała się z pętlic jej nastawionych. Pogodziła się z narzeczoną i poślubiła go, i jest dziś szczęśliwą. I ci sami ludzie znów, widząc dobrą powodzenie i egipski śpichlerz u owego polaka, byli podczas suchych dni wojny z najmłodszym bratem Korfantego, górnikiem w Laurahucie, na czele tak fałszywi i bezczelni, że przyszli do owego człowieka dobrodusznego z natury i jego żony po wsparcie, a ten ich wspierał podczas wojny sowie. To już chyba szczyt bezwstydu i fałszu. Człowiecze, czytelniku! Sądź więc, kto lepszy człowiek, ci urwisi, hołota fałszywa, albo ów człowiek zdradzony, co przebaczył i dał. A jednak, uważaj naredzie! Ci sami ludzie znów teraz krzyczą w niebogłosy na tego człowieka, że to niedobry polak i palcem pokazują na niego, że to zdrajca. Nie będę tu już mówił o bracie Korfantego, Janie, którego żony pokrewieństwo pilnuje języka niemieckiego w domu i który parę tysięcy marek otrzymał z komitetu w Bytomiu od Grzegorzeka i Drejzy z Sosnowca za patryotyzm swój. Który gdy do ognia miał w powstaniu pójść, uniknął ze swoim kolegą Kuźmą, dzisiejszym komisarzem w Laurahucie cichaczem na tysiącną posadę w Sosnowcu, który zdobył na polskości swojej dosyć, jak i Kuźma, co do dziś dnia, za polską pracę po półtysięca marek miesięcznie pobiera, opowiem tylko o tych ludziach, co to koło Drejzy od lat krążyli jako serdeczni przyjaciele i jaki ci geszefit zrobili. Mam tu na myśli owych kurjerów.

Kurjer taki miał za zadanie przeprowadzać ludzi czasem przez granicę i przenosić listy. Zato otrzymywał sześćset marek miesięcznie. Wystarczyłby był sumienny człowiek tylko jeden. Ale — — —! widząc to inni, naprz. bracia pierwszego kurjera Kralewskiego, potem szwagier i koledzy jego, z płorunami polecili i ze łzami do Drejzy i ten ich zaangażował aż ośmiu, t. j. trzech braci Kralewskich ze szwagrem i czterech kolegów. Więc już $8 \times 600 = 4800$ marek miesięcznie. Ale to nie właściwa rzecz. Główna rzecz była — handel słońną. Kurjerowi było na specjalne poświadczenie Drejzy, wolno w Polsce do Prus zakupić tyle słońny, ile uniósł, by ją tu w Prusach sprzedać 100% drożej; a więc słońny funt kosztował 10 marek, a tu ją sprzedawał po 20 marek. Jeśli przeniósł przeciętnie po 80 funtów dziennie, zarabiał $80 \times 10 = 800$ marek dziennie,

to jest $80 \times 800 = 9000$ marek miesięcznie. W parę miesięcy był „ein gemachter Mann“ i każdego, kto Polski nie błogosławił, sztyletem przebić był gotów. To samo gotów zrobić, gdyby go, lub system taki polski, był kto krytykował.

Jadło się więc i pito i hulano i w Polskę bawilo i barknotami papierosy zapalało. Że Drejza o sobie nie zapomniął, każdy, kto wie, iż w pieniądzech grzebał, nie zaprzeczy temu. Że panowie pralowie, których żaden ślżak do Warszawy nie posyłał, pobierali z Warszawy sute miesięczne pensje, tego nikt może nie wie. Pan Sosiński mi sam raz powiedział, gdy mu zgorzany, że bez butów powstańcy chodzą, persadowałem: „No, może Wam jeszcze pierzyny damy!“ A ten sam Sosiński w szlafwagach jeździł i zapomniął, że kiedyś był walcorzem i jak bieda boli. Pan socjalista Biniszkiwicz podczas walk i niedoli powstańców (tych prawdziwych) żył jak pączek, w maśle w hotelu, wrzeszczał publicznie upity po dziewczkę uliczną w Lutni w Sosnowcu i stałował miejsce żony swej w kąpielu w Bystrej. A inni w Sosnowcu w szkole na Wawelu musieli później na podłodze w barlogu, jak bydło spać, bez ręcznika i ludzkich potrzeb, niesyci, bez wsparć dla żon i dzieci na Śląsku. To bratnia miłość! Nikt inny jak sam Rumpfeld, co z policją jakoś tajemniczo w Katowicach był w komitywie, wpadł do mieszkania Postracha jak bomba i kazał mi pierwszemu uciekać z Prus. Ten sam Rumpfeld, który później w parę dni knuł spisek na mnie w Sosnowcu, by mnie aresztowano albo nawet zabito. W organizację naszą z chwilą wyjazdu Drejzy do Polski, zakradły się wprost rozpaczliwe stosunki. Przez wypłatę niektórym członkom i wszystkim komendantom sowitych pensji, każdy najniepowołniejszy rył się na komendanta i jaskrawo ujawniało się, że nie miłość do ojczyzny, nie gotowość poświęcenia się życiem i mieniem dla ideału, lecz chęć znaczenia i pozyskania pieniędzy bez pracy były jedyną pobudką do wstąpienia w szeregi nasze. A kto byli ci wodzowie? Ludzie, nie mający o wojskowej nauce najmniejszego pojęcia. Komendanci powiatowi, a więc pułkownicy bataljonów, majorzy, kompanji, conajmniej nadporucznicy, byli albo prostymi szeregowcami, podoficerzy różnego rodzaju broni, albo najwyżej podporuczników rezerwowych parę, za młodych, organizacyjnie i sztabowo wcale nie wyszkolonych. A co najgorsza. Brak tym ludziom było prawdziwej szczeroci

dla sprawy, męstwa i orjentacji. Wszyscy co do samego komendanta, zbiegli przed niegrożącym im jeszcze z nikąd niebezpieczeństwem do Polski i tu najpierw w Piotrowicach, później w Strumieniu stworzyli nową instytucję kierowniczą, coś w rodzaju wielkiego sztabu jeneralnego, w którym podziału nie było. Kłócono się zażarcie i straszono co tydzień rewolucyjną pałacową. Niewiadomo teraz było nikomu, co za dowódstwo właściwie istnieje i kogo słuchać, czy Bytomia, czy Sosnowca, czy Katowic, czy Piotrowic. Widząc ten chaos, daremnie upominałem do reformy radykalnej, do ukształcenia i zreorganizowania wszystkiego. Za późno! Wściekłość i nienawiść cgarnęła także tych ludzi w Sosnowcu, gdy poszedłem do Sosnowca i oburzony do żywego, co tam widziałem, surowo ale po bratersku krytykowałem wszystkich, co źle postępowali. Każdy przecież rozsądny człowiek przyznać mi musi, że źle, bardzo źle postąpili ci wszyscy komendanci powiatowi, którzy najpierw naród do czegoś powołali, a potem co do jednego za bezpieczną granicę czmychnęli. Narzucić się ludowi najpierw na wodzów, a potem najpierw za granicę pouciekać i zostawić go losowi swojemu. Jeśli wtedy dotknięci za wypowiedzianą na Górnym Śląsku krytykę serdecznie nienawidzić mnie poczęli, szczególnie taki Biniszkiewicz i Rumpfeld, to co dopiero tam w Sosnowcu, gdy Biniszkiewiczowe postęпки jawnych grzechów, szczególnie trzeciego i szustego rodzaju ujawniłem. Postanowili się zemścić. Biniszkiewicz mi jako szlachetny socjalistyczny idealista, szczególną zemstę poprzysiął. Jego kreatura Rumpfeld stante pede uknął spiszek, bo w tem jest mistrzem. Zrobił mnie bolszewikiem i już wówczas wedle haseł, przez władze polskie chciał mnie kazać aresztować. Bo socjaliści polscy w zemście są straszni, nieprzebiegani i krwi chciwi. Rewolwer pod pachą, albo sztylet, i pchnięcie, lub strzał z nienacka, potem krokodylowe łyzy, albo dzikie okrzyki radości, to ich etyka zemsty. Nie brakło i tego i Szafarczyk z Świętochłowic zaofiarował się mi po bratersku kulę w łeb wpakować. Ostrzegł mnie przyjaciel Jacek z kopalni Saturn i ja z bratniej ziemi wolałem ujsć na Górny Śląsk, gdzie naród jeszcze nie miał takiej swobody, by brat bratu pałnął w łeb, lub wepchnął sztylet między żebra.

Co przepowiedziałem, to się sprawdzać zaczęło. Naród pozostawiony sam sobie, zaczynał uchylać się do czynów nie-

rozważnych. Polityczne samorządne przedstawicielstwo podkomisarjatu przepadło i utonęło w biurze pana Drejzy. Rozsądniejszych ludzi, jak p. doktora Hylę z Katowic, który do umiarkowania nakłaniał, okrzyczano za zdrajców i zrzuczono ze stanowiska pod błahemi pozorami i brzydkimi oszczerstwami.

Spostrzegłem zbliżające się nieszczęście dla Górnego Śląska. Ziemi, które Drejzy zrobił, było i to, iż naszą organizację poddał pod wpływ i dyrektywy Głównego Dowództwa wojsk polskich w Warszawie. To osadziło na pograniczu niemieckim tak zwane ekspozytury biur wywiadowczych t. j. po niemiecku „Nachrichtenbüros“, mających za żądanie, śledzić czyli śpiegować wojska niemieckie. Niech by sobie robili, co dla wojskowości polskiej było konieczne, ale nie powinny były mieszać się w sprawy naszej organizacji, jak to czynili. Dużo złego te biura narobiły, obsadzone przez ludzi o służbie wojskowej pojęcia nie mających. O tych biurach i ludziach w nich, często głuptasiach i zbrodniarzach, jeszcze później szczególnie opowiem. Sztab więc warszawski przez ludzi, znów o technice wybuchowej (Sprängtechnik) jak zwykle w Polsce pojęcia nie mających, kazał wysadzać mosty na Górnym Śląsku w powietrze. Tem wprost głupim i bezcelowem rozporządzeniem narobił alarmu między ludźmi i w wojsku niemieckim. Niemcy zaostrzyli środki polityczne i wojskową swą czynność. Pojechałem do Warszawy i spytałem się o cel tych wybuchów. Powiedziano mi, że to ma na celu, by Niemców zmusić do strzeżenia mostów i uszczuplić swe siły garnizonowe. Naśmiałem się z tej genialnej strategii, mówiąc im, że strzelili mimo to do straży mostów Niemcy mogą formacje cywilne zorganizować i zresztą do strzeżenia mostów nie tak wielkiej liczby potrzebują, którą przez świeże zaciągi napełnią, by mógł liczyć na doniosłość jakąś osłabienia ich siły liczebnej. Przeciwnie z tego rezultaty osłęgą polacy, jako się też i stało. Niemcy dopiero przez to wzmocnili załogi na Śląsku i czujniejsi byli. Perswazje moje nie w Warszawie nie pomogły, bo nie ma uporczywszego narodu w świecie jak polacy. Robili głupstwa dalej. Wtem wybuchnął strejk. Naprężenie między ludem było wielkie i groźne. Wodzów do regulowania umysłów nie było. Groził niebezpieczny wybuch zgóry dla każdego, co był w sprawy te wtajemniczony i trochę jaśniej w sytuację naszą i przeciwnika patrzył. Iako nieszczęście ludu naszego prze-

widujący. Dlatego trzeba było szukać, stłumić iskrę w zarodku. Bo i jak można na coś było liczyć wobec liczb przeciwników, t. j. naszych i niemieckich.

Nasza liczba przypuszczalnie wynosiła zorganizowanych osiemnaście tysięcy, atoli gwarantować jej nikt nie mógł. Kierownictwa ani kierownika nie mieliśmy żadnego. Drejza sprowadził od dłuższego czasu coprawda pewnego jakiegoś porucznika, którego potem w krótko kapitanem zrobił, niejakiego Psarskiego skądś z Warszawy do siebie, jako szefa jeneralnego swego sztabu i ten miał kierować wszystkim. Nie miałem nigdy zaufania do tego nad wyraz głupio patrzącego człowieka i przez to, jawnie mu moje lekceważenie pokazując, także w nim sobie wroga zrobiłem. A jednak się nie omyliłem, bo gdy przyszło do sprawy, wykierował Psarski nas tak, iż się do łóżka położył. Wybrano także w Piotrowicach pana Grzegorzaka w Bytomiu na naczelnego komendanta. Pojechałem wtedy po wybuchu strajku do niego i persadowałem cały czas do uśmierzenia umysłów i zażegnania katastrofy. Grzegorzek atoli uniesiony patosem, zawołał, iż bierze odpowiedzialność na siebie, bo się uważa za opatrnośćową osobę w tej chwili na Górnym Śląsku. Chwyciłem się jeszcze jednego środka. Zwołałem naprędce wszystkich wybitniejszych mężów stanu, względnie trzymających się za takich w Katowicach i tu przedstawiłem sytuację groźną, stawiając wniosek, by wysłać do Warszawy posłów z zapytaniem, co Korfanty i Warszawa wobec tego powie i czy możemy na pomoc Polski, którejśmy się spodziewali, liczyć. Posłaliśmy p. Lewandewskiego i Korfantego z Laurahuty do Warszawy. Ci po kilku dniach wrócili z łacie delickę wyrocznią do nas. „Możecie zacząć, ale i nie! Możecie, gdy front choć z dwa tygodnie utrzymacie.”

Ci ludzie gadali coś o froncie. O dwóch tygodniach, to można tłumaczyć, iż poza temi przyjdzie pomoc z Polski!

Ale tu o dwóch tygodniach ani myśli, bo moim zdaniem ani trzy dni trzymać się nie było można, ani coś zaczynać. Bo i jakże? Na tę przypuszczalną liczbę 18000, ledwo jedną trzecią część się ruszy, a z tej trzeciej części ledwo połowa ma krótką broń z kilku nabojami. Więc ani ducha, ani broni nie było, i tem zdobywajcie garnizony całe i siłę przeszło czterdzieści tysięcy, zaopatrzoną we wszelki aparat techniczny i do

skonały kórpus oficerski z sławnym Höferem na czele.

Na taką odpowiedź postanowiłem sam pojechać do Warszawy o jaśniejszą odpowiedź i przedszą pomoc. Zabrałem ze sobą znów Korfante'go i Kuźmę. Przyjechawszy do Sosnowca do księdza Pośpiecha, ten oświadczył nam, byśmy do Warszawy nie jeździli, bo on sam pojedzie. To było w piątek. Pozwań nas, byśmy w niedzielę znów po odpowiedź przybyli do Sosnowca, cośmy i zrobili. Ledwo ja do Sosnowca przybyłem, zostałem przez Plebanka, kierownika rzeczzonego biura wywiadowczego, aresztowany i do Częstochowy odwieziony. Tu mnie na drugi dzień, a więc już w sam dzień wybuchu powstania uwolniono. Wróciwszy do Sosnowca, poszedłem Plebanka zmyślać, a ten znów mnie aresztował. Posyłałem po Dreję, lecz ten jegomość, wielki pan nie raczył przyjść. Dopiero Postrach przybył i wyzwolił mnie z potęgi Plebanka, ale pod słowem honoru, iż na Śląsk nie pójdę. Dziwne mi to było, ale tak dziwne, iż wobec strzelaniny na Śląsku zawrzała mi krew śląska, zapomniałem o słowie danem i poleciałem na Śląsk wprost do Szopienic, gdzie już Grenszuc przegnano i pobito. Lecąc ku granicy, uderzyło mnie, że orkiestra codzienna w kawiarni warszawskiej dalej skoczno rznęła, a polacy się jak zwykle bawili. Hm, a więc polacy na tyle taktu nie posiadają, by wobec walki ślązaków w pobliżu, grać i bawić się przestali? Dopiero w dwa dni później grać przestali. Powstańcy na Szopienicach i Rozdzieniu dzielnie się spisali. Pobili i wyparli grenszuc aż na granicę miejscowości. Taksamo Janów sąsiedni i Nikisz i Giszowiec. Ale — — broni, naboji brakło. Wysłano konno kurjera za kurjerem do Halerczyków w Sosnowcu po amunicję. Kurjer za kurjerem wracali bez koni i — — bez amunicji, ale gdy już było zapóźno, przysłano im trochę. Łączność zrobiona była z Janowem i Nikiszem i Małą Dąbrówką, gdzie się taksamo powodziło. Dotarłem do Małej Dąbrówki, i punkt na tak zwanem Bagnie, łączącym granicę Rozdzienia i Zawadzla był krytyczny, bo stał pod ogniem min i artylerji niemieckiej, oraz pancernego pociągu. Brak zupełny kierownictwa centralnego sprawił brak łączności miejscowej i orjentacji całości. Jedna miejscowość nie wiedziała, co się w drugiej dzieje i narażona była na zaskoczenia. Radziłem Małej Dąbrówce wysunąć posterunki na szosie w stronę Laurahuty, co uczyniono, biegnąc czempredzej przez Szopienic,

Janów na Mysłowice i Słupno. Mysłowice były jeszcze do połowy w ręku niemieckim, tj. strona zachodnia nad samą granicą, gdzie się Niemcy w szkole i na kopalni Piasek zabarykadowali. Od strony Szopieniec posuwali się powstańcy pod kopalnię Piasek. Okazało się, że powstańcom brak lekkich młotaczy min, albo lekkiej artylerji. Daremnie latałem do Hallerczyków po tę broń. Gdyby była, byłoby można jednym wystrzałem greneczuc na Piaskach i szkole zmusić do poddania się, ostrzelić i zniszczyć tor kolejowy i przeszkodzić nadejściu pociągu pancernego, który wybawił greneczuc z krytycznego położenia i Szopieniaków zmusił do odwrotu. Janów łączył się już ze Słupną, która aż do Brzezinki była w ręku powstańców. Przez zdobycie Mysłowic wpadłoby było dużo jeńca i broni w nasze ręce, a szczególnie kolej, którą by się było opanowało od Oświęcinka aż do Szopieniec, ewentualnie by ją można było dla pancernych pociągów zniszczyć, ale brak było dowództwa. Na Słupnej było na wieży Bismarka ze stu ludzi naszych, ale cóż, bez broni, a przypatrujący się o parę kroków Polacy ani naboju jednego dać nie chcieli. Gdyby była broń i naboje, szczególnie maszynowy karabin, nie byli by się Niemcy w Brzezince osadzili, przedarli do Mysłowic. Gdyby była artylerja lub miny, Niemców by w Mysłowicach pokonała, a potem na Brzezinkę poszła, byłaby i ta się poddała. Z tem raportem wróciłem do Sosnowca do Postracha i pobiegłem przez Czeladź na Laurahutę, bo ta sławna Laurahuta jeszcze się nie ruszyła. Wszystkie miejscowości na Górnym Śląsku podporządkowały się powstałym, wybranym albo nadanym im komendantom. Jedynie Laurahuta, to piekło hytraków tak, jak chłopci w wielkiem Chelmie, wiecznie się żarli między sobą. Każdy chciał być komendantem, najzażarciej już o to dobijał się mleczarz Morgała. Każdy chciał przemycać słoninę z Polski i tak przyjeść musiało, że jeden drugiego nie považał i o jakimś podporządkowaniu ani myśli. Snadnie więc gdy ja jako komendant okręgowy się tam pokazałem, rokosz przeciw mnie powstał. Komendę chciał odebrać Morgała, ale tak, żeby z tyłu ludzi prowadzić. Zebrało się tych bohaterów pod dowództwem francusko-polskiego oficera ledwo tuzin, a pan Morgała skrywszy się za słup afiszowy, w niebogłosy krzyczał z tyłu, co mają robić. Działo się to w nocy. Bytków, siedziba moja, był komendą okręgową, nie wypadało mi wtedy

nio innego, jak przedrzeć się przez posterunki niemieckie w Laurahucie do Bytkowa i stąd zaatakować grenszuc w Laurahucie z tyłu. Lecz Niemcy czujni byli na wszystkie strony, gdyż z trudnością, ostrzeliwani, przedarłem się do Bytkowa. Tu zastałem moich własnych zorganizowanych z siedemdziesięciu, ledwo coś piętnastu i parę ochotników, niezorganizowanych, ogółem coś dwadzieścia ludzi. Byli w polu między zbożem i niepostrzeżony poszedłem aż w sam ich środek. Zawezwawszy dzielnego zresztą żołnierza byłego feldwebela Czuba do raportu na uwagę moją, dlaczego się żadnymi posterunkami, ani patrolkami nie zabezpieczają, mogą być na takim terenie pochwytni co do jednego, jak w pułapce, odrzekł mi Czuba, iż żaden nie chce iść na patrolki, ani posterunkiem stać. Z sąsiednimi miejscowościami nie było żadnej komunikacji. Michałkowice wcale się nie ruszyły, przynajmniej ich nikt nie widział. Najwięksi przedtem krzykacze do myślich dziur się pokryli. Wedle raportu Czuba atak na Laurahutę, która właśnie w tem momencie atak naszych z przodu odbiła, był uniemożliwiony, Bytków na zemstę grenszucu ewentualnie narażony. Wobec tego dałem rozkaz rozejścia się do domów i pochowania broni. Ale — co z tego, kiedy później do domu powróciłem, ani jedna sztuka oddanu nie była. Posprzedawali ją za kilkaset marek. Pewien powstaniec skradł pięć, a drugi trzy sztuki i sprzedał. Zażądałem, by ktoś zemną z odważniejszych poszedł z odwrotem przez Laurahutę na granicę. Atoli żaden nie chciał. Dopiero na ostre przemówki zgłosił się młody powstaniec Alojzy Placek i poszedł ze mną. Cześć mu zato! Grenszuc znów nas ostrzeliwał i trzeba było kreciej cierpliwości i ostrożności, by przedrzeć się aż na granicę polską. Tu już była laurahucka wiara nasza w zupełnej rozsypce, kłócąc się zażarcie, kto temu winien, że się im sprawa nie udała. Morgały nie było widać, zjawiał się później dopiero, by objąć komendę zformowanego przezemnie z uciekinierów bataljonu na kopalni Saturn w Polsce. Placka posłałem z raportem do Sosnowca a potem do Bytkowa z instrukcjami. Pierwszą rzeczą było ustalić przez zarząd kopalni kwatery, aprowizację czyli kuchnię. Tę ostatnią zaprowadziłem sam. Mieliśmy zdobytą kuchnię polową z Szopienic. Osobista moja znajomość z rodziną p. dyrektora Dawidsona z Saturna i księdzem proboszczem w Czeladzi przyczyniła się do jako

tako zrośnej aprowizacji. Zresztą bataljon nasz się przedstawił dość pomyślnie. Była jaka taka karność i dowództwo. Prędko się skonstruktował sztab i organizacje na sekcje, plutony, kompanje. Rozchodziło mi się tylko o założenie biura i mechanizmu jego, co było najważniejszem. Nie miałem stosownego pisarza, który by zrozumiał złożenie i prowadzenie poszczególnych list i ksiąg. A tu ani papieru, ani pióra i atramentu. Trzeba było od listy ewidencyjnej (Stammrolle) aż do tekstu rozkazowych kart wszystko samemu zaprowadzać. Nie było płatniczego, podoficera furażowego, oficera furjera (Verpflegungsoffizier), jednym słowem, nie miałem nikogo stosownego i wszystko trzeba było samemu zrobić. Główną także sprawa zaprowadzenia swojego warsztatu szewskiego i krawieckiego była potrzebna bardzo, bo ludziom się dary buty i ubiory i bielizna i trzeba było poważnie myśleć o reperacjach i o możliwości wyprania bielizny. Jedno przez drugie, a tu ani naczyń do picia, do jedzenia, nożyc do strzyżenia, gwoździ, młotków, obcęgow i siekiery do potrzeb naszego parku wozowego. Trzeba było myśleć o chorobie i profilaktycznych potrzebach, o medykamentach. Słowem tysiące szczegółów, czasem na pozór marnych, ale ważnych, jak drobne kółeczko w zegarku. I kiedy w pocie czoła się to jako tako zrobiło, kiedy się za aprowizacją, za którąśmy jak np. za kiełbasę, w Czeladzi na 1500 marek do dziś dnia magistratowi winni, kiedy się u księdza proboszcza tamże o kilkadziesiąt centnarów mąki i konserwów wystarałem, burzyciele wieczni i wichrzyciele z Laurahuty z Korfantem, Kuźną i Morgałą na czele, postanowili stworzyć rewolucyjną pałacową. Spiknęli się z kilku kolegami ducha z Józefówca i w chwili zbiorki (apel) przyskoczył jak zawsze zadyszany cezara mleczarz Morgała i pokazując jakąś ołówkiem pisaną kartką, podpisaną przez podporucznika Gorodzkiego, zdegradowanego i ściganego później za defraudowanie 5000 marek, przedstawił się bataljonowi, jako przeznaczony komendant bataljonu. Co za śmieszna ambicja, co za brzydka chciwość „znaczenia” i stanowiska, która się w wielu sercach naszych, często najniezdolniejszych do tego, co chcą, „jawniła w Morgale, który najgłupszej i najbrzydszej podstępnej intrygi użył, by kogoś zwalić, a samemu wejść do rezultatów cudzej pracy i idei. Udałem zrezygnowanego, oddałem mu komendę, a rezultatem tego był bunt wieczorny,

kiedy się pan Morgała o wieczrę nie postarał, bo mu nie chodziło o pracę, troskę i kłopot, jeno o tytuł pusty i czasowy. Pan Morgała z rana komendę objął i za godzinę poszedł do Sosnowca z podzięką i po napiwek z Gorodzkim za to, że go zrobił „oficerem”. Radości szatańskiej też Kuźma z Korfantym ukryć nie mogli. Radość taka tym polskim szczerym ludziom jest wrodzona. Nazywa się ona po niemiecku „Schadenfreude” a właściwa tylko szlachetnym charakterom, takim właśnie, jak Jan Korfanty i Kuźma. Znikł wtedy znów donkiszot pan Morgała i maszyna stała. Nie wypadło wtedy nic innego, jak postarać się o porządek. Poszedłem do Sosnowca po Postracha, wezwawszy go z sobą jako komendanta powiatowego, by przyszedł i ludziom wytłumaczył, co to jest podporządkowanie się i raz potwierdzony z początku komendant, którym nie kto inny, jeno ja byłem. Zapytałem się także ludzi z Laurahuty o przyczynę niezadowolenia ze mnie. Odrzekli, iż oni nie przyszli tu gnuśnie siedzieć, lecz biec się. A więc tem sianem chcieli się wykręcić z postępu ich i odgrywać zuchów, po już raz udowodnionem bohaterstwie. Dobrze więc bracia moi, damy wam okazję odznaczenia się, odrzekłem. Ale słuchajcie narody, co z tego wynikło. Poszedłem do pułkownika Żymirskiego, naszego nam z Warszawy przysłanego kierownika strategicznego, bo tak jego czynność tylko tłumaczyć sobie było można i zraportowałem mu to. Poprosiłem go o natychmiastowe obsadzenie naszych oddziałów przez oficerów polskich i tak samo komendanta bataljonu. Będą, tak sobie myślałem, nasi ludzie cudzych lepiej słuchać, jeśli swoich nie poważają. Ale się omyliłem, bo swoich nie chcieli, a cudzych nienawidzili, zwłaszcza, gdy ci, jako wojskowi, zarządzali dyscypliny na prawdę. Przyszli więc oficerowie polscy i komendant, a mnie jemu jako adjutanta przydzielili. Był to coprawda błąd, nie-doświadczonych młodzieniaszków postawić na czele i my starsi mężczyźni ich słuchać musieli. Ale błąd to był konieczny i z dwojga złego mniejszy, t. j. od anarchii w obozie naszym.

Co prawda ja nie wierzyłem w dobre rezultaty powstania od samego początku i w duszy potępiałem całą przez Żymirskiego z Warszawy przywiezioną partyzancką taktykę. Taka taktyka mogła mieć miejsce na froncie bolszewickim, w lasach i puszczech, nie zaś na Górnym Śląsku przed zwartym wrogiem z wyrafinowaniem doświadczeniem. Ale nie mogłem prze-

cież nie powiedzieć i przedsięwziąć i rozkazów starszych krytykować. To mogę dopiero teraz, gdy już nie jestem żołnierzem, a jakaś krytyka wydana być musi. Krytyki znosić tylko uparty małoduszny człowiek nie może.

Zamiarem moim było jako tako obóz nasz uporządkować i siedzieć w najlepszej dziurze, jak inni cicho. Atoli, jak bohaterka chciała sławy bez czynów, Laurahuta chciała, tak przyszło. Nazajutrz już nadesłano wozy z bronią i amunicją i Laurahuta wytrzeszczała gały. Ciarki im po skórce przeszły i zobaczyli, że coś naprawdę się święci, a gdy wyszedł rozkaz ostrego pogotowia (verschärft Alarmbereitschaft) zaroiło się niespokojnie, jak w mrowisku. Tysiące pytań: co to znaczy? — Hm, do bitwy pójdziemy! — odpowiedziałem z uśmiechem.

I otóż uważać proszę. Pierwsi, co cichaczem z obozu drapnęli, byli bohaterscy krzykacze z Laurahuty. Czmychnął najpierw komendant ich, a potem zniknęli panowie Kuźma i Jan Korfanty. Dziś się tłumaczą tem, że ich Drejza powołał nagle do Sosnowca, dając im głośne urzędy „kontrolerów żywnościowych“ za tysiąc marek miesięcznie. Na tych stanowiskach nie mieli nic do czynienia, jeno lazić od obozu do obozu i uważać, gdzie się zadarmo obżywiali i prześpić, a tysiąc marek zostało w kieszeni. Nie wymieniać innych profitów, którzy mieli, bo tam w Polsce, najgłośniejsi tu na Śląsku polacy, byli najmędrsi i szukali okazji, by chwilę wykorzystać. Kontroll ścisłej i przezornej nie było. Naprz. kucharz z rana w obozie podał zamiast liczby ludzi naprz. 150, dwieście. Odebrał 50 chlebów i porcji więcej, a już czekali na to żydzi na boku lub paskarze, którzy sówite ceny płacili. Komendant podał w intendanturze taksamo większą liczbę i odbierał po kilkadziesiąt razy więcej, po 50 marek na dekadę na chłopca. Tak się biliśmy za „ojczyznę“. W dzień ucieczki Kuźmy i Korfantego nastąpił nasz wymarsz o 11 w nocy. Przyszliśmy z rana w niedzielę o 8 godzinie do Nowej Wsi, skąd żeśmy po całodziennym wypoczynku ruszyli na granicę pruską, a przez nią na Miasteczko (Georgenberg) i Żyglin.

Mnie zimno strasznie było podczas nocnych marszów, bo miałem tylko płócienny mundur cienki, a deszcz zaczął bez przestanku padać. Pan Morgała zaś zrobił mi przed odajściem z Saturn do Sosnowca tego pałkusa, zabrał mi w „zapomnieniu“ nowy mój płaszcz deszczowy. Przewidywanie moje się speł-

nio. Strategia Zymirskiego literalnie nie nie osiągnęła, prócz strat i demoralizacji, bo na 800 ludzi naszych ze 100 poniekęło. Przecież między powstańcami przeszło 50% było ludzi, co z powstaniem absolutnie nie nie mieli do czynienia. Każdy buks i nierobisł korzystał z tej okazji i szukał się przyłączyć do uciekinierów śląskich do Polski. A któż to nie zna tych naszych buksów i nierobisłó? Ha, jak oni potrafią gadać i wychwalać się! Błada Górnemu Śląskowi, gdyby tacy ludzie przyszli do władzy. Gorzej jak bolszewizm. Pierwsi, co podczas marszu zniknęli w lasach, to sekcyni i plutonowi. Przyszliśmy do Polski, nie nie zrobiwszy. Poniszczyliśmy sobie długim mokrym marszem przez błota i w deszczu ubiory i buty tak, że niektórym literalnie obuwie z nóg pozlatywało. Odżywić się ani wygrzać nie można było, bo większa część tylko w stodołach umieścić się mogła. Chłop polski, chciwy, wcale nie patriotyczny, nie jeść nie dał. Z ledwością mleka po dwie marki za kwartę dali, a gdyśmy ich do ceny jednolitej po 1 marce 25 fenigów za litr zmusili, znikło mleko bez śladu. Ani słomy, siano dla koni. Ani igły do załatania, ani grzebienia, ani mydła, ani ręcznika, ani naczyń do prania, ani miski do jedzenia nie mieliśmy, a dać lub pożyczyć nikt nie chciał. To gorzej jak cygańskie życie. Litość mnie brała nad ludem tym, między którym było wielu dobrych i cierpliwych. Student, syn lekarza Stęślickiego, przyzwyczajony do wygodnego życia, z istnem zaparciem znosił wszelkie niewygody takiego życia, pozbawionego najelementarniejszych codziennych potrzeb życia, do którego lud górnośląski od szeregu lat już przyzwyczajony. Ja miałem przemokniętą, przepoconą bieliznę, a czasu nie miałem ani dzień ani w nocy coś z nią zrobić, lub inną sobie spotrzeć. To też nie długo słyszeć się dał coraz to głośniejszy szmer niezadowolenia i wygrózek. Już na terenie śląskim podczas marszu dezercja następowała i rewolwerem trzeba było ludzi zmuszać do drogi i porządku i posłuchu; a tem się oburzenie i niechęć osobiste do siebie stwarzało. Cóż dopiero teraz. Ludzie się wynosili z obozu. Z tego znów wyłoniło się smykanie z obozu do obozu i włóczęgostwo i inne zło w kraju obcym nas przytulającym. Na domiar złego jeszcze t. zw. oficerzy polscy, przyzwyczajeni do koleżeństwa i romansów, dobrego przykładu nie dawali. Zamiast siedzieć w obozie przy ludziach, bez uwiadomiania mnie wynosili się

na zdobytych niemieckich koniach, począwszy od samego komendanta aż do furjera na przejażdżki romansowe i posprowadzali do obozu różnych swoich kolegów, którzy na koszt bataljonu siedzieli w obozie, jedli i pili jak swoi. Jeździli na koniach naszych, rekwirowali podwozy (wozy) na koszt nasz. Komendant, młody człowiek (22 lat) nigdy mi nie zdał rachunku z kasy, którą w kieszeni swojej nosił, a potem mnie oczernił, iż ja pieniądze zabrałem, gdy ze zgorzenia bataljon rzuciłem. Konie zdobyte, kołdry i inne przedmioty gdzieś djabli wzięli. Poznałem, iż ci wszyscy królewiaci (polacy tamtejsi), którzy karjery w swoim wojsku zrobić nie mogli, poprzyłatywali do nas, by jako „ochotnicy“ być na Śląsku sądząc, iż Górny Śląsk raz, dwa, trzy zdobędziemy a oni, będąc zaledwie podoficerami, wjadą do miast górnośląskich na zdobytych koniach jako kapitan, majorzy i pułkownicy. Dają głowę, iż pułkownik Żymirski także te fantazje podzielał i spodziewał się już dawno być generałem. Już to polak zanadto fantazją grzeszy przeciw Duchowi świętemu. Na rachunek takiej fantazji i kasy bataljonu, ci wszyscy przybysze polscy „kuchnię oficerską“ osobną zaprowadzili. Aż dwóch kucharzy tę kuchnię prowadziło. Smarzyło, piekło i warzyło się, aż na kilometr zapachy się rozlatywały, a prosty żołnierz cienką zupkę dostawał. Kucharz, powstaniec Żabiński, lub Hańdy z Szopienic niech poświadcza, jak i co się tam działo, czy ja podzielałem życie tych oficerów polskich. Przedstawiłem im to i zniechęcili mnie. Dostałem się w przykre położenie. Powstańcy, bracia mi bliżsi, oskarżali lub posądzali mnie, że ja winien, iż cienkie supy i mało mięsa i tłuszczu dostają, a oficerzy polscy zgrzytali na mnie zębami, iż ich za biesłady karzę i krzywo na kuchnię ich patrzę. Takie położenie doprowadziło mnieby, napisać do Dowództwa w Sosnowcu, by mnie zupełnie zwolniło z bataljonu i służby wojskowej. Myślałem, iż osiedzę spokojnie w Sosnowcu i siedzieć będę cicho. Ale gdzie tam. Te same, może gorsze jeszcze stosunki opanowały już niemal wszystkie obozy i rady sobie nie wiedziiano. W Sosnowcu i innych obozach związały się literalnie bandy złodziejskie i bandyckie. Naprzykład w Choruniu napadli i obrabowali powstańcy (nie zasługujący na tę nazwę) kościół i plebanie, nie szanując nawet tabernakulum.

Oficerowie wszystkich zazwyczaj krajów mają w sobie dość głębokie poczucie koleżeńskie i honorowe. Jak wielki

brak taktu towarzyskiego zdradzali mi oficerowie polscy naszego bataljonu, dowiedli tem, że zeszli się w chwili odjazdu mego, mojego własnego konia i derkę mi skryli i sprowadzili mi wóz z zabrudzonymi gnójnicami, bez wszelkiego siedzenia i przykrycia. Deszcz padał, ja bez posiłku od rana, niezdrowy, musiałem sobie dopiero sam z pomocą chłopu słomy na siedzenie spastrzeć i koldrę zdobytą na greneszucu gwałtem od oficera polskiego wymusić. Odjechałem zgorszony, ale szczęśliwy, że wolny odtąd będę od wszelkich kłopotów i starań o rzeczy i ludzi niewdzięcznych i złych, szczególnie dziś na świecie. Byłem niespokojny o dzieci i żonę tam w domu. O koldrę tę, którą oddałem jako zdobycz intendancji do rąk p. Rzoska w Sosnowcu, oskarżył mnie komendant w Dowództwie, że ją zabrał, a nie oddał, t. j. zdefraudował. Nadmienię muszę jeszcze jeden szczegół. W Nowej Wsi, gdzieśmy ze sztabem u jednego karczmarza odpoczywali, a któremu bataljon w tem czasie krocie dał zarobić, czułem się przez zimno nocy przeziębiony i chory. Szczekałem z zimna i febry i bałem się znowu chłodu nocnego. Prosiłem karczmarza tego, bogatego chłopca, o danie mi jakiego łachmana do przykrycia się. Chłop dał mi starą dziurawą całkiem jopę, którą później dałem mojemu miejscowemu zastępcy Czobrowi z Bytkowa, bo i jemu zimno dokuczało. I o tę jopę, a więc doszczętny łachman upominał się także ten karczmarz w Głównem Dowództwie. Taksamo przez cały marsz, nie podał nam nigdzie żaden brat polak ani kropli wody, ani łyżki strawy. Patrzyli obojętnie na nas, jak na wrogów. Wszystko nam sprzedawali po zastrasżających cenach. Zdaje się, że chłop polski bez polskości strasznie jest chciwy.

Omyliłem się, sądząc, iż mi dadzą spokój. Pan Alfons Zgrzebniak powołał mnie natychmiast do Głównego Dowództwa na naradę i proponował mi reorganizację w różnych kierunkach.

W Głównem Dowództwie, a więc w sztabie generalnym, zastałem wogóle niebywałe stosunki. Było nas tam ogółem sześciu ludzi, t. j.: Alfons Zgrzebniak, były podporucznik, ekskandydat teologii z Dziargowic, jakiś były podporucznik Hirschler, prawnik z Galicji wschodniej, niejaki podoficer Ręka, robotnik, nie umiejący dobrze pisać z Kozłowej Góry, niejaki Masztalerz, żołnierz, robotnik z Piekar i jeszcze jeden, który odgrywał ordonansa i bursza Zgrzebniaka i ja!

Jaka tam reorganizacja była potrzebna w Sosnowcu, niech posłuży rozmowa ne Zgrzebnikiem.

Zgrzebniak: Jakie reformy pan zamierza w życie wprowadzić?

Ja: Powinieneś mi pan do tego sam jakie dyrektywy dać, ale ponieważ pan sztabowej praktyki nie ma, więc mi wypadnie samemu pracować i jąć się własnej inicjatywy. Proszę zatem o zupełnie wolną rękę i ścisłe wykonanie moich propozycji.

Zgrzebniak: Co jest najpilniejsze?

Ja: Najpilniejszym by było zorganizować rzeczywisty sztab i dobrać odpowiednich ludzi.

Zgrzebniak: Ha — żeby tacy byli.

Ja: Muszą się tacy znaleźć. Bo tak komenda wyglądać nie może. Pan niby jest komendantem z imienia, a po wszystko pan lata do pułkownika Żymirskiego, nawet po pieczętki na kwity o kilometr daleko. Hirschler siedzi i pisze kwity i rozkazy i dziennik. Całe archiwum nasze składa się ze stu arkuszy czystego papieru i kajeciku Hirschlera, gdzie tenże swój dziennik prowadzi. Masztalerz lata po Sosnowcu i używa życia. Ręka siedzi na stoiku i po całych dniach ogryza paznokcie, rysuje chłopki na stole a ja — ja nie wiem, co mam robić i kim tu jestem. Gdy chciałem wiedzieć, gdzie leżą nasze obozy, musiałem w całym Sosnowcu po księgarniach latać, by kupić jaką mapę i nie dostawszy jej, nie znam do dziś dnia rozkładów naszych obozów. Nie ma żadnej listy ewidencyjnej i dotąd nie wiemy, ilu nas tu w Polsce jest, a jak kto umrze, straci się na wieki. Kobiety mnie daremnie pytają, gdzie ich mężowie. Co tu taki Ręka i Masztalerz mają w sztabie do szukania? Musimy także zaprowadzić i tu trochę otwartych kart szczerości i porządku. Masztalerz i wszyscy pobierają miesięcznie po tysiąc dwieście marek a ja połowy się doprosić nie mogę i już dawno jestem po żołniersku płacony, i nie wystarcza mi to, bo mi żona donosi pieniądze. Wszak pan wie, iż w hotelu muszę płacić 15 marek za łóżko z pluskwami w dodatku na dzień. Za obiad 12 marek, za kolację 6 marek, za śniadanie 4 marki, nie licząc ubioru, bielizny zniszczenia i papierosów. W domu jadłem więcej niż trzy razy na dzień. W dodatku macie kwatery wolne i dostajecie żywności z intendantury dosyć. Poco to ukrywać jeden przed drugim?

Zgrzebniak: Co do sztabu i tych ludzi, damy spokój. Niech pan myśli, jakbyśmy porządek w obozach zrobili.

Ja: Stwórzmy coś w rodzaju inspekcji polowej, dla kontroll komendantów i dowódców. Potem żandarmerję polową.

Zgrzebniak: Rób to pan jaknajprędzej!

A więc, co do Górnego Dowództwa, t. j. sztabu, nie miałem nic. I pozostało tak, jak było, t. j. jak Zgrzebniak chciał. Narobiłem sobie tem tylko wrogów w osobach wymienionych, bo ci, dowiedziawszy się o propozycji mej, wyrzucenia ich, zapalali nie małą nienawiścią do mnie. Trafiłem ich przecież w najdotkliwsze miejsce ich duszy. Pozostaliśmy tak, jak żeśmy byli i nie wiedzieliśmy doprawdy, jak jeden drugiego mamy tytułować. Żaden nie wiedział, co za funkcje spełniać miał.

Uruchomiłem więc najpierw aparat inspekcyjny, a następnie żandarmerję polową i — o dziwo! Cała Laurahuta się ciśnieła do niej. Zorganizowałem atoli tę żandarmerję pod tem warunkiem, iż po kompletnem obsadzeniu posterunków na całym froncie, wybiorą sobie innego komendanta tejże, bo przeczuwałem, iż niejednego będę musiał chwycić za duszę i jeszcze więcej wrogów sobie narobię.

Żandarmerja ta ujawniła też odrazu jeden skandal po drugim, wykrywszy stosunki i ludzi złych, że aż włosy na głowie stawały.

Oto rejestr grzechów i rzeczy, które sobie jako takó z raportów zapamiętałem:

1. Konie zdobytych od grenszuczu przeszło sześćdziesiąt sprzedano pokątnie. Konie każdy był od 5 do 8000 marek wart.

2. Broń krótką (rewolwery), powstańcom na Śląsku rozdana, posprzedawano, albo oficerzy polscy odebrali. Pomiedzy innemi Kuźma i Jan Korfanty nie oddali swojej drogiej broni. Rewolwer był taki w Polsce od 2 do 500 marek płacony.

3. W obozach, szczególnie w Sosnowcu, wiele kobiet i ulicznice polskich popoznawały się z ślązakami i mieszkaly jako ich żony z nimi razem, odbierając z komitetu żywność i wsparcia.

4. Przy kościółku w Sosnowcu na trawnikach i rabatach kwiatów wałęsają się pary po całych nocach, poniszczwszy cały ogród, naco się tamtejszy ksiądz gorzko użalał.

5. W intendancurze głównej dzieją się wprost okropne cyganstwa. Zaginęło 50 000 papierosów, a z magazynów furami wywożą.

6. W Chorunfu ze wsi do kościoła wpadli słazacy uzbrojeni, ograbiwszy doszczętnie kościół i probostwo. Ksiądz poznał ich jako słazaków.

7. W pułku bytomskim strzelców niemożliwe stosunki. Kto jaką sprawę miał na Śląsku, lub coś ukradł i sądu się bał i każdy buks, uciekał za granicę do Polski do tego pułku i był tu bez świadectw z Rad Ludowych lub komend P. O. W. przyjęty.

8. W obozach pogranicznych chodzą pod pozorem patrolek uzbrojeni powstańcy po miejscowości i nad granicą. Szachrują z przemytnikami, szczególnie żydami i robią nadużycia.

9. W garnizonie Sosnowskim utworzyła się samozwańcza policja pod komendą niejakiego Slusarka z Szopienic. Tenże Slusarek bieżę w nocy uzbrojonych w mundury powstańców — uchodźców, obstawia dom jakiego żyda i pod jakimś pretekstem chce go niby aresztować. Przedstawia się jako oficer, żąda okupu i puszcza żyda na wolność. Banda tego Slusarka chodzi nad granice niby na patrole i tu uprawia najgorsze szwindle.

To tylko małaostka ze wspomnień kilkudniowego urzędowania mojego. Muszę tedy od tego Slusarka zacząć. Slusarek ten szczególną sztuką, specjalnego sportu przedsiębioranych zmyślonych aresztowań żydów bogatych, jako podejrzanych szpiegów niemieckich się wślawił i narobił mi kłopotów. Uwziął się szczególnie na jednego żyda, który latał ze skargami do mnie. Musiałem się więc do sprawy tej zabrać. Poszedłem do tego Slusarka, wylegitymowałem się przed nim i w dobry sposób szukałem go przekonać, by zaprzestał takiego postępowania. Jednakże gdy to nic nie pomogło, spisałem protokół na niego, oddałem żandarmerji polskiej w ręce i spowodowałem aresztowanie go. Jakżesz się atoli zdziwiłem, gdy za trzy godziny na ulicy zastąpił mi Slusarek drogę i rzekł mi: czekaj cholero! przyjdzie noc i handgranata i coś innego cię nie minie! Spisałem nowe za to oskarżenie na niego, lecz ani włos mu nie spadł z głowy; przeciwnie, Slusarek jeszcze bezczelniej występował. A to jakim sposobem? Otóż dowiedziałem się, iż on z kilkoma jego współnikami jest agentem Plebanka.

Kto jest ten Plebanek?

Chcąc dać na to należytą odpowiedź, trzeba przedstawić

wpierw stosunki ogólne, jakie dziś w Polsce panują. Za rosyjskich czasów, nie mógł polak zajmować niemal żadnych urzędów. Wszystkie szczególnie wyższe kierownicze urzędy zajęte były przez moskali, którzy też szczególną inteligencją i sumiennością się nie odznacжали. Urzędy swoje uważali moskale za domenę szczególnych dochodów, za polizę życiową na starość. Na każde stanowisko cisnęli się moskale i przez protekcję różnych krewnych, znajomych i możnych opiekunów, sprowadzano często najgorsze wyrzutki społeczeństwa, albo niekwalifikowanych na teren podbitych krajów kresowych z głębi Rosji. Starczyło być rosjaninem i schyzmatykiem, by w matuszce Rosji nie zginąć z głodu. Matuszka Rosja zaś dla swoich synów podbiła jeden kraj po drugim, oddawała im takowy jako dojną krowę do wyssania, nie troszcząc się wiele o pensje urzędników. Urzędnik sam starać się był powinien o utrzymanie siebie i rodziny. I postarał się. Poddani batjuszki cara znosili daniny i dary w postaci przekupstwa i system ten wyrafinowany zadawałniał urzędnika i każdego poddanego, co się z sumieniem zbyt nie liczył. To też do dziś usłyszysz wszędzie w Polsce żale i westchnienia za moskalami, szczególnie u chłopów na wsi. Polskę dawną chłop przeklina, pamiętając o pańszczyźnie, nową Polskę nienawidzi. Nie ma bowiem większej przepaści, jaka jest między szlachcicem i chłopem polskim. Na każdego lepiej ubranego człowieka patrzy chłop polski podejrzliwie. Łapownictwo urzędników rosyjskich, znane w całym świecie, udusiło poczucie honoru i sumienie społeczeństwa polskiego. Nauka ta nie poszła zaś w las, szczególnie u żydów, tak licznych w Polsce. Dziś żydzi, korzystając z tego sieją w około siebie łapownictwem, osięgają wszelkie intratne stanowiska w wojsku i urzędach, a szczególnie w handlu i t. d. To samo co pierwsi się dzieje. Ty na dokument czekaj polaku całe tygodnie, żyd ledwo wliźie do kancelarji, już dostaje wszystko i odchodzi na gaszefę. Żołnierzy setki widziałem i mówiłem z nimi i jawnie mi opowiadali, że już tyle miesięcy lub lat służą ale ani butów, ani munduru nie dostali i musieli go sobie sami kupić. Zaco? — — to ich tajemnica. Tu żadne drakońskie przepisy na defraudacje, złodziejstwa i skandale korrupcji codziennej nie pomogą. Ale nie chcąc się rozwodzić długo nad tem i wzbudzać przeciw mnie podejrzenie, iż na Polskę, za którą życie chciałem po-

święcić, proszę, polecam każdemu sprowadzić sobie jeden rocznik warszawskiej „Myśli Niepodległej” Andrzeja Niemojewskiego, głośnego i szczerego publicysty polskiego, lub „Kurjer Częstochowski” z Częstochowy. Z tych prapolskich gazet dowie się każdy więcej, co się w nieszczęśliwej Polsce dzieje, kto nią rządzi. Polska dziś jest w niebezpiecznem położeniu. Na wewnątrz ruina, na zewnątrz groźna, czy prędzej czy później Rosja, Czechy, Niemcy. Politykami wielkimi polacy nigdy nie byli. Szczególnie zewnętrzna strona jest groźna i wyjścia niemal nie ma. Bez wschodniej Galicji, której Ukraina i Rosja nigdy nie zapomni, Polski przemysł i handel jest utrudniony. Bez Górnego Śląska Polska nigdy się nie dźwignie, a Górnego Śląska znów Niemcy, którzy się prędzej, czy później znów podźwigną, nigdy nie zapomną. Będziemy zawsze między kowadłem i młotem. Sami o własną skórę powinniśmy się nad tem zastanowić i trochę samoistnie o sobie stanowić. Polityki się sercem nie uprawia, jeno rozumem zimnym i błada temu, który uczuciową politykę uprawia. Może nam się tak stać, jak zaproszonemu na biesiadę romantyczną, który nazajutrz z bólem głowy i próżną kieszenią się obudził. Dlaczego koalicja przede wszystkim wedle hasła Wilsona i prawa narodu i traktatu pokojowego nam samym losów w ręce nie dała tak, byśmy i trzeci modus byli w traktacie otrzymali, t. j. o samych sobie pomyśleć. Istnieją przecież szwajcarzy, istnieje Belgja, dla-czegobyśmy i my istnieć nie mogli ze skarbami naszymi. Przecież szwajcarzy, to najlepsi Niemcy, a za nic w świecie by się z Niemcami nie połączyli i swej wolności niepodległej nie dali. Belgowie (walonowie) są Francuzami, dlaczegoż bronią swej niezależności i Francji w objęcia nie lecą. Dlaczego Amerykanie, koloniści angielscy, wywalczyli swą niepodległość od Anglii, Czarnogórcy, toć to czyste Serby, dlaczego nie chcą zupełnie utonąć w Serbji i powstają przeciw niej, broniąc swej niepodległości. Dlaczego wy przybysze poznańscy choć bracia i wy inni bracia, teraz po siedmuset laty, naraz nas tak kochacie i przecie ku nam, a nie pozostawiacie nam naszej wolnej ręki, śmiertelną nienawiścią pałając i gubiąc każdego Ślązaka, który się o tę wolność swoją upomni i do ludu swego się odezwie. Czyż Wy myślicie, iż między nami nastąpi kiedyś zupełna harmonja, z powodu różnic naszych charakterów i językowych, my, którzy dopiero sztucznie, tradycyjne wspomnienie polskie wzbu-

dzamy, ale wnet się óckniemy i coś nas od was odpycha, coś boli. Spytajcie się tych licznych powstańców, co tam w Polsce byli, co za uczucia i myśli powrotem przynieśli. Na te eksperymenty bengalskich ogni politycznych nie zważajcie, bo przy nich trudno będzie polityczną kaczkę upiec. Będzie ona zawsze chemiczną sztuką czadu pachniała. Patrzcie, co z powstania wynikło. Najpierw katastrofa donkiszoterji i smarkaterji, zgorszenia i rozdwoj na drugiej stronie, potem aresztowania i intrygi i barbarzyńska niesprawiedliwość nademną. Co dalej? — — — Omidquid agis, prudentas agas, et respice finem!

Owóż w Polsce rozpanoszyło się moskiewskie plugastwo i naprzepaściło jej duszę. Rosja z wybuchem wojny opuściła doszczętnie Polskę, pozostawiając tylko korupcję po sobie. Wojna początkowa pozostawiła naród zupełnie samemu sobie. Rok się fronty nieprzyjacielskie przesuwaly, tam i nazad do kraju.

Potem okupanci niemieccy i austriaccy zaprowadzili jakie takie urzędy i porządek w kraju, rabując jak mogąc i co mogąc w kraju. Przemysł i handel zupełnie stanął. Socjaliści pod egidą Piłsudskiego z początku ideami czysto narodowymi się do socjalizmu garnąc, później na czysto partyjne stanowisko wkraczając, przygotowali wyswobodzenie Polski. Przez przypadek ślepy rewolucji niemieckiej, a nie przez zasługi bohaterstwa, rozbrojono i wypędzono okupantów, którzy dostali rozkaz oddawania broni byle komu, dopiełł socjaliści, organizacją swoją P. O. W. oswobodzenia Polski. Socjalizm uwieńczył się wawrzynem bohaterstwa i stał się modnym w Polsce. Socjaliści dążą teraz do popularności. Do socjalistycznej partji garnęła się przedewszystkiem młodzież. Ta przeważała w organizacji P. O. W. i tak jak się u nas na Śląsku stało, było w Polsce. Niewykwalifikowani ludzie, młodzieniaszki otrzymali stanowiska dowódców, komendantów i zajęli po zdetronizowaniu okupantów, władzę i stanowiska. Pierwsze chwile przecież były takie, że więcej oficerów się po miastach widziało, jak żołnierzy. Oficerzy, bez patentu oficerskiego, bez szkoły. Pokazali ci ludzie też zaraz, iż im o Polskę nie chodzi, lecz tylko o siebie. Z socjalistów stali się naraz butnymi panoczkami i biada prostemu chłopowi, żołnierzowi i nieumundurowanemu

śmiercielnikowi, który ich nie uznał. Spytaj się dziś żołnierza polskiego, co on o tych panoczkach sądzi.

Polak z natury jest do próżności, lekkości życia i błyskotliwości nałożony. Dlatego pierwszą zasadą nowych panów było, tusta pensyjka z biednego narodu, weź skąd chcesz, tylko daj gustowny mundur z cackami i błyszczącą szabelką i brzęczącymi ostrogami i — romansik, flircik, który mu umysł i czas zabiera i nie pozwala się fachowo kształcić.

Dlatego pensje oficerskie i urzędnicze w Polsce tak błędnej są bardzo wysokie i ponętne. Komisarz policyjny, których w Sosnowcu jest do licha, a policja z prostych ludzi, płatnych miesięcznie po 500 marek, bierze miesięcznie tysiąc marek i w dodatku ma jeszcze i konia. Najniższy oficer pobiera coś tysiąc marek miesięcznie. A więc nowi panowie i urzędnicy dbali o siebie. Idź do strasznie drogich restauracji i zobaczysz, kto tam jest zawsze i co spożywa. Sumienie nie uregulowane wychowaniem zasadniczem, przeciwnie, popsute wojną i rosyjskimi czasami, skłania się na drogi bezprawne, na koszt ojczyzny go prowadzić. Nie dziw dlatego, co dzień nowe skandale, nowe nadużycia milionowe, a kraj do przepaści prowadzące. P. O. W. zajęła kraj tanim kosztem nie dla kraju, lecz dla siebie i wyjścia z tej toni nie ma, prócz kary śmierci. Dlatego to tak obojętnie, tak chłodno mnie w Warszawie przyjęto, gdy tam w początku o pomoc dla Śląska pojechałem.

Jednym z najważniejszych, najniezbędniejszych i najskrupulatniejszych kwalifikacji i wyszkolenia wymagających urzędzeń wojskowych i politycznych jest służba wywiadowcza, czyli szpiegowska. Sam zginiony lord Kitchener był szpiegiem. I Polska wtedy, zorganizowawszy armię, zmuszona była i tę służbę wojskową u siebie zaprowadzić. Lecz jak we wszystkim, tak i tu tę ważną gałąź zajęły jednostki najniewłaściwsze. Naczelnik tejże służby, major Domański, zdemaskowany i aresztowany został w Warszawie, jako zdrajca i szpieg bolszewicki. Służba ta według granicy niemieckiej, szczególnie śląskiej, ma biura, tak zwane posterunki biura wywiadowczego czyli ekspozytury. Kierownikami tychże są oficerzy z P. O. W., ludzie bez pojęcia o tej służbie. Sumami rozporządzają te biura olbrzymiemi. Trudnią się nie tylko wojskową wywiadowczością, ale i polityczną, coś w rodzaju, jak ochrana rosyjska, albo Grenzkomisariaty niemieckie. Prócz tego i w za-

kres kryminalny wchodzą, tak iż łączą trzy w sobie zupełnie odmienne gałęzie, w innych państwach zupełnie od siebie niezależne. Nie wiesz wtedy w Polsce, co właściwie za służbę i kompetencją policja i żandarmerja mają, bowiem biura wywiadowcze są największą potęgą w Polsce, stojące ponad prawem i sejmem w Warszawie, uważają żandarmerję i policję za dekorację państwową. Żandarmerja lub policja może aresztować nie wiem kogo, gdy biuro wywiadowcze chce, wydestkuje go się jak anioła z opałów. To też, gdy ja kazałem żandarmerji polskiej na podstawie dowodów, Ślusarka i kolegów jego przyaresztować, Plebanek rozkazał ich natychmiast puścić, a mnie włożyć na oko. Przeciw władzy i praktykom biur wywiadowczych nie ma w Polsce prawa ani instancji.

Na usługach biur wywiadowczych raczej ich kierowników stoją ajenci. Są to żyd nie żyd, hachar nie hachar, dziewczka nie dziewczka. W Sosnowcu usługują Plebankowi dosłownie najgorsze szumowiny społeczeństwa. Kto nie ma co żreć i szuka choćby kogo zabić, byle żyć a nie pracować, a nie uda mu się i dowie się o istnieniu biura tego, idzie do Plebanka i ten mu da czynność. Czynność ta polega na tem, że go posyła na granicę, by pilnował, czy z Prus szpiegli nie przychodzą. Idzie wtedy na granicę, tu z żydkami, żołnierzami, z przemytnikami się poznaje, pomaga im, a od czasu do czasu, jeśli mu ktoś nie zapłaci, lub nie ukłoni niziutko, bierze pierwszego lepszego, zwłaszcza ślązaków i żydów, i wieździe go jako „szpiega“ bez dowodów do Plebanka. Ten znów do aresztu, skąd go wypuszczają po wciśnięciu Plebankowi pewnej kwoty do rąk. Skosztowałem ja tej polskiej kozy i przysięgam, iż drugi raz bym jej nie chciał dożyć. Uprawiają też ajenci Plebanka specjalną obławę na piękne dziewczyny. Już kilka ślązaczek wpadło w te sidła. Aresztuje się piękne panny. Narobi im się strachu. Widzi się głupią gaskę, wówczas ją się namawia do „służby wywiadowczej“. Posyła ją się do Prus, zobaczyć tam i owdzie, gdzie wojsko niemieckie i daje się parę groszy. Po pewnym czasie gani się ją, że jest do takiej służby niezdolna i grozi oddaleniem. Dziewczyna, zaczynając się przyzwyczajać do łatwego zarobku, łatwo teraz tałem o utratę „miejsca“ zdjęta, nadstawia ucha podszeptom, aby — — — —! No i przestaje być wnet prawą dziewczyną, służy do rozrywki smarkaczów biura wywiadowczego, a gdy

jej syć, wyrzucają zupełnie, wierząc, iż tego ze wstydu nikomu nie powie. Szukają nowych ofiar, a Polska tę Sodomę i Gomorę pieniędzem płaci i na to istnieje, by tę bandę opryszków bawiła i żywiła. Na usługach takiego Plebanka stoi cały szereg „buców i nierobisłów pogranicznych” ze Śląska, między temi i wymieniony Ślusarek. Pan Królik, wyjątkowo porządny człowiek z Szopienic, stający przez pewien czas także u Plebanka, a zbrzydziwszy sobie tę służbę, może o tem zaświadczyć, co się tam dzieje. Szpiegów niemieckich, stojących na usługach policji pruskiej, się nie aresztuje. Doświadczenie także miała Rada Ludowa powiatowa z Katowic. Zresztą pociąg do pisania dużo jeszcze o tem piekle! Niech się każdy uda do p. Karola Richtera w Katowicach, do p. Królka, Gydysia z Szopienic, do p. Postracha w Katowicach, dowiedzie się więcej. Przecież dziś przeciw tej bandzie i przeciw najgorszemu bezecństwu w Polsce głos podnieść, jest najniebezpieczniej, zaraz się ta szarańcza i ich poplecznicy rzucą na ciebie, a nie mogąc cię zabić z za płota, okrzyczą, obryzgają cię jako zdrajcę i wroga Polski. Przecież mnie tu na Śląsku nawet tylu porządnym ludzi ostrzegało przed napisaniem i ogłoszeniem tego. Czyż w Polsce już i tu społeczeństwo całe tak daleko doszło, że tańczy na osłep w ciuciubabkę? Czyż i śląski naród ma być podobny do żydów z tej epoki, kiedy św. Szczepan do nich przemawiał i zatkali sobie uszy i ukamienowali go wściekłości? Zdaje się, że polski charakter na nic tak nie jest wściekły, jak na prawdę. Dziwne to, iż na narody niektóre, jakieś zaślepienie pada. Żydom nie mów o Chrystusie, Niemcom o przegranej wojnie a Polakom o ich niezdolności i złem, co niechybnie na zły koniec znów prowadzi.

To więc jest ten robak rozżacający Polskę. Socjalizm stworzył P. O. W., a P. O. W. stworzyła, że tak mówi, Polskę i wlała jej do ciała i dopóty się tego z korzeniem nie wytepi, Polska chorować będzie, aż znów skona, prędzej, jak to sobie kto przypuszcza.

Polsce potrzebny był by taki Richellieu, coby ją w polityczny bieg wprowadził. Potrzebny taki Bonaparty, coby hydrę rewolucji starł na miazgę i wszystkie partje żelazną pięścią ścisnął w jedną partję, partję rozsądku, sumienia i poświęcenia. Nie Ignasiów, z których jeden z Dąbłami Polskę wywracają do góry nogami, a drugi sukienkową Madame Pompadur poli-

tykę do Warszawy przywiózł, nie Józków i dyletanckich eksperymentatorów, nie P. O. W. wampira.

Jak wszystko, tak i wolność obywatelska, wolność słowa w Polsce tylko na papierze, w istocie gnębi jeden drugiego jak móza. Gdzie w Polsce znajdziesz, kłnie jeden na drugiego, klną wszyscy na Polskę. Chłop kłnie, robotnik kłnie, rzemieślnik kłnie, kupiec kłorzeczy, ksiądz płacze, żołnierz narzeka, żyd wyzywa, kapitalista wściekły, aż do Paderewskiego, któremu się już sprzykrzyło i ucieka do Sawajearji, jak Kościuszko zrobił. — A, cholera niech trzaśnie wszystko! — Każdy ci gada. Ten wyciąga ręce do Moskali, ów błogosławi, tam zaś kogo innego pragną, jeno na Polskę wszyscy krzyczą. Jedyne paradne lalki P. O. W. Polskę lubią i chwają.

P. O. W. ogarnęła i nasz Górny Śląsk. Tą P. O. W. już tu krytykowałem, a z nim i socjalizm, bo znam jego przedstawiciela Biniszkiewicza, jego Rumpfelda. Znam tych bolszewików narodowych, co z jednej strony białego orła, z drugiej Matkę Boską Częstochowską przyczepili do swojego sztandaru „czerwonego”. To im akurat przystaje, bo inaczej nie idzie, aż przyjdzie czas. Wówczas maskę zrzucą i zrzucą też Matkę Boską i orła białego, i zostanie tylko kolor czerwony, a wówczas poznać masz ludu górnośląski, co ten kolor czerwony znaczy. Poznać wy księżuni naiwni, co to tak z tem sprytnym szewcem poznańskim zgodnie pod płachtę narodową polską lecicie. Poznać wy robotnicy tę polskość jego, kiedy będzie za późno. Wróble na dachach o tem i każdy polski socjał wie, że narodowość ta to tylko obłuda i z bolszewizmem się bratacie, bo o sowjetach na Śląsku jawnie mówicie między sobą, tylko by lud się o tem dowiedział. Dlatego Biniszkiewicz tak raptownie Rumpfelda do komitetu do Bytomia wcisnął, dlatego z Warszawy tylu agitatorów do P. O. W. wcisnął, by ją zająć dla obozu swojego i te same stosunki stworzyć na Śląsku, co w Polsce i mieć potęgę za sobą, potęgę, której on nie stworzył. Dlatego mnie tak znierawidził, gdy mtemu przeciwstanał i plany mu skrzyżował i postanowił po trupie moim, jak bolszewiki, minąć tę przeszkodę. Ten szewc z Berlina, ten pacholek sprytny warszawskiego robotnika, przewidywał we mnie przeciwnika niebezpiecznego, i dlatego powziął otwartą i skrytą, choćby najpodlejszą, szewską smołą i gnypem śmierzdzącą brocią, mnie usunąć. I o cudo, te skryte zamaskowane bolsze-

włki, którym to udowodnię, że mnie oskarżyli, jako bolszewika, którego trzeba usunąć.

Kiedy mi się nie udało mnie przed powstaniem do polskiej kozy lub pod ziemię usunąć, powziął to więc teraz, kiedy mu znów na oczy w Sosnowcu wlałem. Przez sprzyjanie skryte socjalizmowi doktora Wolnego, zastępcy Czapli, i dziwną przyjaźń tego Biniszkielwicz, ongi biedna z Berlina szewczyzna, dostał się w koło górnośląskiego areopagu na ulicy Kołłątaja, t. j. podkomisarjatu. Był więc persena prima. Biniszkielwicz, doktor Wolny (co to za polak, niech się przysłucha każdy, jak obcuje w domu) i pułkownik z P. O. W. Żymirski otóż to nowy tryumwirat polityczny górnośląski w Sosnowcu. Panoczki te naiwne, dali pieczęć do aresztowania mnie. Każdy mnie nie cierpiał, bo ich krytykowałem, ja śmiertelnik. Szewca Biniszkielwicza traktowałem jak szewca, krzykacza, i powiedziałem, że był w Lutni (restauracja w Sosnowcu) bezczelny i obżarty, a tego nie zcierpiał, sławę jurisprudencką, Wolnego zaczępiłem o jego bezczelną arbitralność suspendowania doktora Hyle i narobienia tem skweresu, a napoleońskiego stratega Żymirskiego krytykowałem za daremny bezcelowy krwi przelew moich współbraci. I nie dziw że potęgi plekielne pieczęć do przyklepienia mi hiszpańskiego plastru dali i wsadzili mnie do ciupy. Miało się taksamo i innym stać, naprz. Pośpiechow, którego magister prawa, pan Wolny nazwał „warcholem“ (a Wolny co za pan?) i Postrachowi. Sosiński także im tam coś powiedział i pan Wolny zmańdzał. Triumwirat się rozleciał, a szewca Biniszkielwicz welsnął głowę między nogi. Ja zaś mógłbym siedzieć do śmierci, gdybym się sam nie był uwolnił.

Najważniejszą przyczyną do aresztowania mnie, była taka sprawa:

Wydałem rozkaz odebrania wszystkim powstańcom rewolwerów, im już zupełnie niepotrzebnych. Sprawilo to wielki rozruch i opozycję, bo rewolwery już dawno były posprzedawane. Najbardziej oparli się temu Jan Korfanty i Kuźma z Laurahuty et arecypatryoty.

Wydałem rozkaz spisania wszystkich zdobytych na gruncie koni i uważania ich jako własność górnośląską oraz wszelki dobytek; konie zaś sprzedane zaaresztować. Ponieważ wielu oficerów polskich konie z siodłami sobie przywłaszczyli lub sprzedali, narobiłem sobie znów z tychże oponentów.

Wydałem instrukcję i inicjatywę do zaprowadzenia ksiąg i listów kontrolnych w garnizonach i zaprowadzenie inspekcji (którą stworzyłem już) do prowadzenia i rewizji tych ksiąg rachunkowych, szczególnie w intendancurze głównej, gdzie się działy wprost niemożliwe rzeczy. To dopiero narobiło skweresu. Nie dziw więc, że znalazłem naraz tylu przeciwników.

Mówiłem też o tem, by wprowadzić w życie kontrolę ściślejszą nad kasą podkomisarjatu, gdzie miliony spływały i wypływały i przepadały gdzieś w zapomnienie. Obrazilłem tem znów Dreję, przez którego tyle milionów przeszło.

A więc, jako reorganizatora mnie pozwano, abym nic nie reorganizował. Byłem komendantem żandarmerji, nie wolno mi atoli było nic wymyślać. To paradne! Niech kto uważa i sądzi, kto ma odrobinę zdrowego rozumu. Przypomni się każdemu scena z biblij, kiedy Abraham Boga prosił o Sodomę i Gomorę. Tak mało tam było sprawiedliwych.

Przyszła zaś chwila stanowcza, walka między prawem i bezprawiem między mną a Zgrzebniakami i Plebankiem.

Żandarmerję stworzyłem z jaknajściślejszemi przepisami. Nie mieszałem się absolutnie w zakres jurdykcji i kompetencji polskich władz. Li tylko określone kompetencje do osób i obozów górnośląskich były zestawione.

Żandarmerja śląska była aprobowana przez władzę polską i wojskową naszą i naglono mnie do zorganizowania tejże. Byli do niej przyjmowani zaprzysiężeni jaknajdzielniejsi ludzie.

Zwołałem naczelników polskiej żandarmerji i policji i uświadomiłem ich o tem, taksamo Plebanka. Plebanek (młody człowiek zaledwo lat 24) objawił olbrzymie zainteresowanie i niepokój nad tem. Ważna przyszła więc chwila. Jak już raz nadmienilem, garnizon śląski w Sosnowcu, istny Babilon nieporządków i zbieraniny, zrobił sobie jakąś samowolną milicję czy policję, bez wiedzy naszego dowództwa, pod wodzą rzeczzonego Ślusarka. Ten robił wyprawy zbrojne nad granicę i w głąb miasta. Policja początkowo jak i straż pograniczna Hallerczyków pasywnie się temu przyglądała. Coś atoli wnet spostrzegli w tym nielegalnego i przyszło do starcia. Pewnego dnia przyszło do tak groźnej sytuacji, iż Hallerczycy ustawili brón do strzału i ślązacy taksamo i o mało co nie przyszło do strzelaniny na ulicy starososnowieckiej. Wydałem rozkaz, iż żadnej załozde

śląskiej poza obręb mieszkań i placu swego nie wolno z bronią wychodzić i straży wystawiać.

Mimo to chodził Ślusarek dalej, wymusił od żydów kilkakaset marek i przepuszczał kogo chciał tam i nazad przez granicę. Był tajnym agentem Plebanka a mieszkał w garnizonie. Spowodowałem jego aresztowanie, Plebanek zaś kazał wypuścić. Ja zaprotestowałem temu. Myślałem, że przeciw Plebankowi przecież także jakaś sprawiedliwość i władza się znajdzie. Omyliłem się. Przeciw Plebankowi i jego zgraji nie ma w Polsce władzy. Biada Śląskowi, gdybyśmy tu takich Plebanków i Ślusarków dostali. To był mój konflikt z Plebankiem o — prawo!

Następstwem tych uzbrojonych śląskich wycieczek na granicę było zabieranie przemytnikom a szczególnie ludziom takim, co z bledy z Prus, a więc polskim górnoślązakom, po słoninę lub mięso do Polski przeszli. Nie pomogły żadne lzy. Kobietę i dziewczynę niejedną przytem pogwałcono. Nawet oczekiwani tak bardzo i wychwalani Hallerczycy tak robili. Może to poświadczyć moja matka Dorota Pronobis, staruszka 66 lat, która poszła odwiedzić dwóch młodszych moich braci, służących w wojsku polskim i której zabrano jeden po drodze z powrotem zabrany funt słoniny. Gospodyni mej matki, pani Dombek z Rozdzienia, prosząc Hallerczyka, by miał wzgląd na matkę moją, której syn (ja) jest głośnym agitatorom za Polską i dwóch synów jeszcze ma w wojsku polskiem, dostała taką odpowiedź, że jej nigdy nie zapomni. Moją matkę zaś kopnął Hallerczyk w nogę.

Teściowa moja, pani Zawisła Marja i pani Marja Czernecka z Bytkowa, obie słynne polki, widziały, jak przed ich oczyma Hallerczyk dziewczynę śląską do zboża zawłókł, a gdy go przeżywały, wymierzył do nich karabinem. Mojej żonie odwiedzającej mnie, kiedy stałem kwaterą na kopalni Saturn, odebrali żołnierze masła i wędliny 5 funtów, choć wiedzieli, że to żona komendanta okręgowego i prezesa Rady Ludowej i wyjątkowo tylko dla siebie nosiła coś z Polski. Oficer tych żołnierzy, z kozackiego rodu, upity, chwycił żonę moją za pierś i tylko gdy rewolwer wyciągnąłem na niego, puścił ją. O tem wypadku wie cała Laurahuta, którą z wściekłości oficer ten aresztować kazał, to jest, na kopalni bawiających uchodźców z Laurahuty. Wojsko polskie potrzebuje różnych towarów, które

nić innego, jak przedrzeć się przez posterunki niemieckie w Laurahucie do Bytkowa i stąd zaatakować grenszuc w Laurahucie z tyłu. Lecz Niemcy czujni byli na wszystkie strony, gdyż z trudnością, ostrzeliwani, przedarłem się do Bytkowa. Tu zastałem moich własnych zorganizowanych z siedemdziesięciu, ledwo coś piętnastu i parę ochotników, niezorganizowanych, ogółem coś dwadzieścia ludzi. Byli w polu między zbożem i niepostrzeżony poszedłem aż w sam ich środek. Zawezwawszy dzielnego zresztą żołnierza byłego feldwebela Czubra do raportu na uwagę moją, dlaczego się żadnymi posterunkami, ani patrolkami nie zabezpieczają, mogą być na takim terenie pochwytni co do jednego, jak w pułapce, odrzekł mi Czubra, iż żaden nie chce iść na patrolki, ani posterunkiem stać. Z sąsiednimi miejscowościami nie było żadnej komunikacji. Michałkowice wcale się nie ruszyły, przynajmniej ich nikt nie widział. Najwięksi przedtem krzykacze do myślicz dziur się pokryli. Wedle raportu Czubra atak na Laurahutę, która właśnie w tem momencie atak naszych z przodu odbiła, był uniemożliwiony, Bytków na zemstę grenszucu ewentualnie narażony. Wobec tego dałem rozkaz rozejścia się do domów i pochowania broni. Ale — co z tego, kiedy później do domu powróciłem, ani jedna sztuka oddanu nie była. Posprzedawali ją za kilkaset marek. Pewien powstaniec skradł pięć, a drugi trzy sztuki i sprzedał. Zażądałem, by ktoś zemną z odważniejszych poszedł z odwrotem przez Laurahutę na granicę. Atoli żaden nie chciał. Dopiero na ostre przymówki zgłosił się młody powstaniec Alojzy Placek i poszedł ze mną. Cześć mu zato! Grenszuc znów nas ostrzeliwał i trzeba było kreciej cierpliwości i ostrożności, by przedrzeć się aż na granicę polską. Tu już była laurahucka wiara nasza w zupełnej rozsypce, klóćąc się zażarcie, kto temu winien, że się im sprawa nie udała. Morgały nie było widać, zjawił się później dopiero, by objąć komendę zformowanego przezemnie z uciekinierów bataljonu na kopalni Saturn w Polsce. Placka posłałem z raportem do Sosnowca a potem do Bytkowa z instrukcjami. Pierwszą rzeczą było ustalić przez zarząd kopalni kwatery, aprowizację czyli kuchnię. Tę ostatnią zaprowadziłem sam. Mieliśmy zdobytą kuchnię polową z Szopienic. Osobista moja znajomość z rodziną p. dyrektora Dawidsena z Saturna i księdzem proboszczem w Czeladzi przyczyniła się do jako

tako zrośnej aprowizacji. Zresztą bataljon nasz się przedstawił dość pomyślnie. Była jaka taka karność i dowództwo. Prędko się skonstruktował sztab i organizacje na sekcje, plutony, kompanje. Rozchodziło mi się tylko o założenie biura i mechanizmu jego, co było najważniejszem. Nie miałem stosownego pisarza, który by zrozumiał złożenie i prowadzenie poszczególnych list i ksiąg. A tu ani papieru, ani pióra i atramentu. Trzeba było od listy ewidencyjnej (Stammrolle) aż do tekstu rozkazowych kart wszystko samemu zaprowadzać. Nie było płatniczego, podoficera furażowego, oficera furjera (Verpflegungsoffizier), jednym słowem, nie miałem nikogo stosownego i wszystko trzeba było samemu zrobić. Główna także sprawa zaprowadzenia swojego warsztatu szewskiego i krawieckiego była potrzebna bardzo, bo ludziom się dary buty i ubiory i bielizna i trzeba było poważnie myśleć o reperacjach i o możności wyprania bielizny. Jedno przez drugie, a tu ani naczyń do picia, do jedzenia, nożyc do strzyżenia, gwoździ, młotków, obcęgow i siekiery do potrzeb naszego parku wozowego. Trzeba było myśleć o chorobie i profilaktycznych potrzebach, o medykamentach. Słowem tysiące szczegółów, czasem na pozór marnych, ale ważnych, jak drobne kółeczko w zegarku. I kiedy w pocie czoła się to jako tako zrobiło, kiedy się za aprowizacją, za którąśmy jak np. za kiełbasę, w Czeladzi na 1500 marek do dziś dnia magistratowi winni, kiedy się u księdza proboszcza tamże o kilkadziesiąt centnarów mąki i konserwów wystarałem, burzyciele wieczni i wichrzyciele z Laurahuty z Korfantem, Kuźną i Morgałą na czele, postanowili stworzyć rewolucyjną pałacową. Spiknęli się z kilku kolegami ducha z Józełowca i w chwili zbiórki (apel) przyskoczył jak zawsze zadyszany cezara mleczarz Morgała i pokazując jakąś ołówkiem pisaną kartką, podpisaną przez podporucznika Gorodzkiego, zdegradowanego i ściganego później za zdefraudowanie 5000 marek, przedstawił się bataljonowi, jako przeznaczony komendant bataljonu. Co za śmieszna ambicja, co za brzydka chciwość „znaczenia” i stanowiska, która się w wielu sercach naszych, często najniezdolniejszych do tego, co chcą, „jawniła w Morgale, który najgłupszej i najbrzydszej podstępnej intrygi użył, by kogoś zwalić, a samemu wejść do rezultatów cudzej pracy i idei. Udałem zrezygnowanego, oddałem mu komendę, a rezultatem tego był bunt wleczorny,

popularnego iniektora poznańskiego powstania, w Sosnowcu przez żołnierzy prostych. A gdy tenże rewolwer wyciągnął, rozkazał Żymirski mu się dobrowolnie w przeciągu 24 godzin z Sosnowca wynieść. Rypki bowiem zamiast Żymirskiego chcieli górnoślązacy i był dlatego Żymirskiego rywalem.

Zażydałem od Alfonsa Zgrzebniaka słowo honoru, że bierze odpowiedzialność za to na siebie i świadectwo, oraz jaknajprędzej interwencji i wyjaśnienia. Zgrzebniak dał to słowo i ja poszedłem do Plebanek. Ten przyjął mnie niemal ze łzami ubolewania, że się w tak przykrem położeniu względem mnie znalazł i uniewinnił się, waląc na Żymirskiego, a pocieszając, że to tylko jakieś nieporozumienie, które za jakie dwie godziny będzie załatwione.

Panie Plebanek! ozwałem się — pan jeszcze za młody wobec mnie i mało szkoły posiadasz, byś pan taką policyjną kurtuazją mi głowę zawrócił. Mów pan otwarcie, boć ja wiedziałem już parę dni temu, co się święci. Nie mogliście tylko formy znaleźć do tego aresztowania. Wymyśliście wtedy następującą komedijkę. Napisaliście dwa listy, jakby z Prus przez szpiegów niemieckich pisane by objaśnić im jaką tajemnicę z naszego dowództwa. Miał to być najprostszy sposób do aresztowania mnie przez pana. Ale, panie Plebanek, do takiej rzeczy trzeba sądu, a przed takim sądem ja bym się zapytał, skąd macie tego ducha świętego, że te listy idą do mnie i wyście je przyłapali. Zkąd jest ten poseł i co to za jeden i od kogo te listy ma. Przecież ja, gdybym chciał szpiegować, lub listy przysyłać, mam inne sposoby na to, bo sama żona moja by to ustnie załatwiała. Nie, mi domine Plebanek! Za głupia jest ta komedja. Zanadto ja ofiar Polsce waszej oddałem, byście wy mi mogli coś takiego podstawić. Szpieg do ognia za Polskę nie pójdzie i życia narażać. Nie będzie tak w Polsce umiecie ocenić kogoś i tak się odplacać. Jeszcze Śląska nie macie a już tak postępujecie.

I ten Plebanek, smarkacz, przyciśnięty, przyznał się, iż on o żadnych listach nie wie! Ja wtedy zarządałem protokołu, który sporządzono, stawiając mi najbredniejsze oskarżenia. Naprzykład, że byłem w służbie żandarmerji rosyjskiej. Dziwne to. Przeszło 10 lat nie byłem w Polsce ani w Rosji, bo mnie tam przed laty aresztowano po trzykroć i w końcu zasadzono po dziesięćmiesięcznej niewoli na dwa miesiące za przejście

niedozwolono granicy z zagrożeniem, że gdybym jeszcze raz na terenie rosyjskim albo polskim był schwytany, aresztanckie rotty mnie czekają. Dziwne to, iż mnie rosyjskie władze jako politycznie podejrzanego łapią i sądzą a ja na ich służbie być miałem.

Pod słowem znów honoru, którym polacy obficie sypać umiały, że to się wnet wyjaśni, prosił mnie Plebanek, darować, że mnie na odwach posłać musi, aż przybędzie Żymirski. Udałem się wtedy z oficerem na ten odwach. Jest to istotny kurnik, z kilku cel się składający. W celi siedzieli sami górnoślązacy, niektórzy już od kilku tygodni. Jeden zupełnie bez koszuli. Spali na ziemi. Głód im dokuczał, bo chleba już nie widzieli tygodnie. Dopiero napisałem do Głównego Dowództwa i zaczęli otrzymywać chleba trochę na dobę i raz supe. Robactwa tam co nie miara, jak we wszystkich polskich więzieniach, gdzie o kąpieli, o mydle zapomnij. A tu tyfus plamisty ma się nie rozszerzać. Przesłano mi do Plebanka z Głównego Dowództwa pięćset marek, jakaś grzeczność osobliwa, ale ich nie otrzymałem i nie wiem, co się z nimi stało.

Po trzech dniach mnie odwieziono do Częstochowy do aresztu wojskowego komendy placu. Co ci w tem piekle wycierpieli, niech każdy, kto się chce przekonać, uda się albo napisze do nich na podane już wyżej adresy. Wszyscy mnie błagali, że gdy będę wolny, bym się starał ich wybawić z tego piekła.

Codzień się tu dostawało zrana i wieczór jakiś czarny gorzki odwar, nazywany kawą i w południe kaszę nie smaczną lub marchew jałową. Koło kuchni znajduje się stajna z kilku końmi i ogromna masa much tam jest. To też codzień dwie, trzy muchy w jedzeniu i tak już niesmacznem. Przedstawiłem to komendantowi placu, ale to, człowiek taksamo z P. O. W. byli kolejarz, odrzekł mi, iż on także czasem ma w domu muchę w misce a je. Najgorsza męka była brudna bielizna, czarna, jak ziemia, już 7 tygodni na sobie i robactwo. Dostałem świerzb. Zażądałem lekarza i ten, skinął ramionami i przepisał mi maść jakąś. I ja miałem wobec brudu jeszcze się bardziej maścią zabrudzić. Potem gnębiła mnie myśl o żonie i dzieci. Co się mogło w Bytkowie stać z niemi? Czy greneczuc nie aresztował żony. A jeśli nie, dlaczego ona nie przybywa do mnie? To piekielne męki mi sprawiało, gorsze jak zimno,

które z deszczem i wczesnym śniegiem, dęło przez otwarte okno, bez szyb. A tu przykrycia nie ma żadnego. Wszak w celi literalnie, prócz pryczy nie ma. Ani garneczka na picie, ani miski do jedzenia, ni łyżki, ni ręcznika, ni kubła, lub naczynia na noc. Musiałem to dopiero na własny koszt kupić za drogie pieniądze. Uciec mogłem łatwo z tamtąd. Ale poci? Kiedy nie czułem się winny i każdej chwili spodziewałem się uwolnienia. Napisałem wiele listów do Sosnowca potajemnie i doszły. Przedstawiłem i zaklinałem Dowództwo Główne, Zgrzebnika, księdza Pośpiecha, Czapłę, Wolnego, Zymirskiego, Postracha, słowem wszystkich. Prosiłem o sąd jakiś. Napisałem do adwokata. Telegrafowałem do Piłsudskiego. Napisałem cały tom blisko do „Kurjera Częstochowskiego”. Prosiłem, groziłem, ale to nic nie pomogło. Dostałem do mej celi współtowarzysza niedoli, studenta prawa jednorocznego wojskowego Gaweckiego, syna aptekarza Gaweckiego i przez tego dużo dobroci i przysługi doznałem. Szczególnie ratował mnie przez przysyłanie mi wiktów całodziennego i przysyłania poczty. Oby wam Bóg zapłacić raczył to wszystko, dobrzy ludzie. To Litwini. Ja wam nie mogę teraz inaczej podziękować, bo nawet pisać do was nie mogę. Miałem też pieniędzy jeszcze przeszło 8000 marek od żony z Sosnowca, ale wobec tego, jak nas żołnierze za usługę okradali, trzeba by było z 2000 marek na miesiąc. W końcu po kilku tygodniach żona moja przyjechała. Zaplakana kobieta ze zdziwienia wyjść nie mogła. „Jako Ty, coś mnie i dzieci opuścił i od dzieciństwa za Polską przepadał, coś Radę Ludową w Bytkowie stworzył i towarzystwa zakładał, coś związki wojskie organizował i czterdzieściami tysięcy Polsce zawierzył i dzieci i mnie osierocił, i na niedostatek z dostatku naraził; ty, coś jedyny z komendantów i prezesów Rad Ludowych poszedł do ognia. Włęcz tu taką w Polsce zapłatę otrzymałeś?”

I ja, jak ów biskup w Meksyce zamiast przed śmiercią brata cesarza austriackiego, jego pocieszyć, musiał być od skazańca pocieszany, tak samo musiałem żonę pocieszać. Nie mnie w Polsce się jedynie tak stało, lecz wielu innym. Daremne się okazały wszelkie moje drogi piśmienne. Ci ludzie okazali się istotnie bez serca, bez rozumu i wstydu. Musiałem przyść do przekonania, iż wszystko, co się pod pewnym sztandarem łączy, na sztandar ten przysięga i zasadami jego prze-

śląkanie. Czyżby więc ten sztandar polskości łączył samych szatanów w ludzkiej postaci? Nad tem pytaniem długo się zastanawiałem.

Chciałem przecież sądu, mając do tego prawo. Sądu choćby najsurowszego, byle sprawiedliwego. Chciałem i krzychałem o wypowiedzenie mi winy jakiej, a jak ją znajdą, mają mnie pod mur postawić i uśmiercić. Chciałem tego, czego najgorszy zbrodniarz żądać śmie i musi.

Ale oni — bracia polacy, choć skrupulatnie chcieli mnie obwinić, pomimo najpodlejszej ich natury, nie mogli nic znaleźć takiego. Oczerniali mnie tylko przed temi, co się o mnie pytali, iż jestem „winny“, ale czego, to nie powiedziano. A na nalegania ciekawszych, odpowiadali to, że parę tysięcy marek zdefraudowałem, nie mówiąc, gdzie i kiedy i komu; to że zdradziłem, nie mówiąc kogo i co.

No i w końcu kiedy już nic nie mogli mi podstawić, zebrali się na naradę, coby ze mną zrobić. Uradzili wtedy to, czego ani Niemcy, ani Moskale nie uczynili. Boć Moskale i Niemcy swoich, co za nich walczą, tak nie traktują. Otóż postanowili mnie cichaczem wywieźć i internować, aż by było po plebiscycie.

Tu, mój kochany górnośląski współbracie, któryś także tą chorobą jeszcze nie jest zarażony i zaślepiiony, uważaj dobrze, bo to najważniejsze, co się ciebie samego tyczy!

Owóż kalkulowali sobie tak:

Gdybym ja teraz przyszedł na Śląsk, mógłbym za pomocą pisma lub słowa górnoślązacom powiedzieć, oom przeżył. Prawdopodobnie nie będzie już tak „dobrym polakiem“ i idjotą, by wołał „niech żyje Polska“ co mi tak dokuczyła i ścisnęła nas za kark. Tego się górnoślązacy dowiedzieć nie powinni. Poślemy tedy, jak owi faryzeusze i kapłani żydowscy tych przekupionych żołnierzy od grobu Chrystusa, jakich ludzi „naszych“ do Prus i popsujemy mu „opinię“, bo to nasza najlepsza i najtańsza broń. Potem gdy Górny Śląsk przejdzie do Polski, będziemy „my“ tam rządzić po swojemu i błada komu, ktoby coś pisał. My tam i biura Plebanka rządzić będziemy i puścimy go potem. Jeśli go dotychczas djabli nie wezmą, to go puścimy na Śląsk i nie odważy się ten śmiałek ani pisać.

Widzisz bracie! Jaka sprawiedliwość, jakie pany i jakie stosunki cie czekają. A co się mnie i drugim już tam stało.

gdzie jeszcze Śląsk nie należy i nie mają pewności jego posiadania, cóż dopiero gdyby tu doprawdy zapanowali?

Bracie! Tu zastanów się nad tem. To ci nie pisze Niemiec, nie półniemiec, nie półpolak, to Ci pisze z własnego strasznego doświadczenia — polak górnoślązak z pełnem nazwiskiem i wymienieniem tyłu świadków, co tak jak ja, krew i mienie poświęcili dla Polski. I nie mogę ci powiedzieć, że to pisze przepłacny prchołek niemiecki, bom dość od Niemców wycierpiał, a pisze ci to taki, co mu się od Polaków, własnych braci, krzywda stała. Ta krzywda, ta niesprawiedliwość woła o pomstę do nieba i musi być ogłoszona. Nie ja, to niesprawiedliwość tych, co i do ciebie pięknemi słówkami przemawiają a w sercu plany swoje fałszywie knują na skórę twoją to pisze. O tej krzywdzie musi się dowiedzieć świat.

Gdyby ci tak zmarły brat się pokazał i powiedział ci, co się tam na drugim świecie dzieje, czybyś mu nie wierzył?

Po siedmiu tygodniach za polskimi kratami oświadczono mi, że będę wolny. Nowa obłuda i kłamstwo. Zawołano mnie przed młodego oficera prawnika i ten z faryzeuszowską miną mi powiedział, bym polskim władzom tego co mnie spotkało, nie miał za złe, bo zato polskie władze nie mogą. To uczynili właśnie moi rodacy. Władze polskie są zupełnie przekonane, że jestem niewinny i krzywda mi się stała. Górnoślązacy mówią, że im przeszkadzam.

I to mi mówił prawnik. Och, co za obłuda i głupota! Władze polskie przekonane o mojej niewinności, a trzymały mnie w swoim więzieniu i katowały mnie na życzenie drugich! Lecz obłuda! Obiecał mi, że będę wolny!

Zamiast tego przyszło nazajutrz trzech żołnierzy z karabinami i prowadzili mnie i jednego górnoślązaka dziadowinę niejakiego Roberta Michałika, którego w Sosnowcu strasznie potłuczono, do Krakowa, celem internowania mnie, aż do skończenia plebiscytu na Śląsku. Nie wiedziałem o tem, gdzie i naco mnie transportują trzej żołnierze i ich karabiny. Nie mówili mi nic. Ale ja miałem na szczęście pieniądze, a na jeszcze większe szczęście wiedziałem, iż dusza polska każda jest dla podarku, szczególnie dla pieniędzy przystępna. Nie omyliłem się. Przekupiłem żołnierzy i pokazali mi papiery. Z nich wyczytałem, że mnie „internują“ a przyczyną tego jest: „na życzenie milicji śląskiej, za wicherzenie w obozach górnośląskich.“

Nie, tego ja dłużej ścierpieć nie mogłem. Nie, nie dam się dłużej męczyć i uwolnię się sam z rąk moich bratnich oprawców i szubrawców. Zapytam się was potem, gdzie ja i w którym obozie wiechryłem?

Jedna błyskawiczna myśl, pare chwil czekania i uwolniłem się od żołnierzy polskiego transportu. Zniknąłem im na stacji Trzebini w Galicji, jak duch z pod nosa. Wiedziałem, iż żołnierze ci będą odpowiedzialni i surowo pokutować za moją ucieczkę, ale serce ciągnęło mnie do dzieci i żony. Dla nich miałem pierwsze obowiązki. Coby się z nimi było stało, gdyby mnie tam długo byli trzymali, a plebiscytowy czas by się i ze dwa lata pociągnął? Albo gdybym tam był tak umarł? Wszak byłem już zupełnie chory, żona i dzieci i tak mnie wiele nie użyły. Dziesięć dni przed wojną się ożeniłem. W drugim dniu wojny mnie Niemcy aresztowali i po siedmiu dniach puścili. Zaraz za dwa dni poszedłem na wojnę. Po pół roku przybyłem do domu. Po ledwo czterech tygodniach mnie znów aresztowali i przeszło dwa lata na fortecy trzymali. Z wybuchem rewolucji oddałem się wyłącznie sprawom polskim i organizacji i tylko gościem w domu byłem. W maju już musiałem z domu uciekać zupełnie, a potem utonąłem w powstaniu, teraz w niewoli polskiej i — jeszcze mam na lata całe za poświęcenia moje i trudy być w barbarzyński, ba szatański sposób znów od dzieci i żony odłączony. Nie, bracia rodacy! Jesteście podli, ale i głupcy! Skorzystałem z tego i uwolniłem się z rąk waszych. W dwa dni byłem w Trzebini, nie mogąc sobie kupić w Galicji ani kawałka chleba, ani kropki mleka na wsi (ja nie wiem, z czego ci ludzie tam żyją), jedząc obfite na polach jeszcze rosnące karpiele (kłaki), przybyłem do Sosnowca. Myślałem, że pomimo wszelkiej nikczemności moi bracia rodacy tyle będą mieć rycerskości w sobie, że mnie pochwalą za spryt i odwagę, uniknięcia mego z pod strażu trzech karabinów. Ale gdzież tam! Bestye te, dowiadując się o tem, zawyli z wściekłości i wydali rozkaz policji i pogranicznej straży, schwywania mnie za wszelką cenę i zastrzelenia. Rozkaz ten doszedł także do rąk mojego krewniaka (miałem 19 krewnych i braci w powstaniu i wojsku polskim). O bałwany! pomyślałem sobie, gdy się o tem rozkazie i gonitwą za mną dowiedziałem. A to tak było: Przyszedłem najpierw do mojego znajomego do Małobądza, który pochodził

z Górnego Śląska, powiedziałem mu wszystko. Człowiek ten aż osłupiał i odtąd nienawidził polskich patriotów i sprawiedliwości polskiej. Wykąpałem się u niego i włożyłem nareszcie świeżą bieliznę. Ztąd poszedłem do drugiego przyjaciela do Czeladzi. I ten się zdziwił, a to rodowity polak. Zakład porządnie, posłał po wódkę i piłem i patrzyłem oknem na policję i tajnego znanego mi arcyopryszka Walacha od Plebanka. Z Małobądza wysłałem już szydercze listy do Plebanka i moich serdecznych przyjaciół, uwiadamiając ich o wolności mej. Dlatego mi też na przekór, wiedząc, że jeszcze w Polsce, rozkaz do takiej gonitwy za mną wydali. Ale — ja, który w służbie wywiadowczej w wojnie, przebrany różnie, wiedząc, iż mnie stryżek lub kula napewno czeka, musiałem chcąc nie chcąc za front rosyjski w samą paszczę lwa się nieraz udać i powrócić. Byłem zahartowany i kpiłem sobie z gonitwy ich. Byłem u dobrych przyjaciół niefałszywych. Wszyscy bohaterowie komendanci i głowy polityczne ze Śląska, choć ich nie goniono specjalnie, jak mnie Hörsing, znając mnie osobiście, gonić z wyznaczoną premją parę tysięcy marek rozkazał, uciekli przed czasem do Polski, a ja pod samem nosem Hörsinga śmiało z miejsca na miejsce się przenosząc, do ostatku tu byłem, chodząc nawet do Bytkowa, gdzie na mnie „właśni rodacy z chciwością na premję“ czyhali, ale przebranego nie poznali, nie uciekałem i nie dałem się złapać, a tu w Polsce głupcom bym to miał przypuścić. Pośmiałem się z nich serdecznie, kupiłem ostatni raz słoniny i kielbasy polskiej sporą masę i zabrałem się w drogę w nocy tam, gdzie mnie się najmniej spodziewano, do Jacka Henryka, ślązaka, którego znałem, że się zdradą nie splamiliby. Jest to oficer Plebanka na Saturnie przy granicy. Chciałem, by mnie Jacek przeprowadził na granicę, atoli Jacek, czy się obawiał, czy mu się wstać nie chciało, odmówił. Musiałem wtedy plan zmienić. Groziło mi podwójne niebezpieczeństwo, z polskiej strony posterunek polski, z pruskiej niemiecki, a com się w Czeladzi dowiedział, najważniejsze. Niemcy rozpięli na tak zwanej suchej granicy od Młowie aż do Czeladzi ku Pszczelnikowi druty, czyli przewodniki elektryczne na 3000 voltów napięcia. Kto się takiego drutu dotknie, ma pewną, prędką i lekką śmierć. Ale ja jej bynajmniej nie pragnąłem. Znałem na szczęście takie przyrządy niebezpieczne z wojny, a raczej ze szkoły wywiadowczej,

gdy się fortyfikacji środków jej uczyło. Przecież pół fortecy Torunia temi druczkami okolone było. Znałem na to środki zaradcze. Musiałem jednak być ostrożny. Ciężar mojej słoniny mi zawadzał, gdy ku granicy na czworakach pełzałem, musiałem ją w zębach nieść przed sobą, ale błogosławiłem w tej nocy słoninkę polską, jak nigdy. Wszak słoninka ta sucha, to dobry izolator i bezpiecznik przed prądem i śmiercią, która już przez te przekłete druty żydówkę pewną i innych zabiła. Przypuszczenie moje, że gdzie te przewodniki, tam żadnych albo rzadkie posterunki będą stały, sprawdziło się, a miałem przy tem jeszcze i to szczęście, że pełząc, wlażłem na wielkiego zająca żywego. Bestyjka ta mnie nie mało wystraszyła. Zakrzyknął i gdym go chwycił, w niebogłosy krzyśnięć począł. Nie wiedziałem, by zając tak krzyśnić umiał. Zabiłem go i wlażłem do domu. Żona moja i państwo Burdela z Laurahuty mogą poświadczyć, żem go do domu przyniósł, jeszcze ciepłego. Przeszedłem szczęśliwie koło wieczorka druczki niemile i niebezpieczne i kasmiałem się szydorczo. Policzę się z wami, bracia rodacy! Qui vivra, verra!

Najpierw poszedłem do domu, ale tu jeszcze było niebezpiecznie dla mnie i musiałem się schronić do krewnych gdzieś indziej. Powstańców, kpiących z siebie i z powstania i Polski, zastałem już wiele. Poszedłem do Rady Ludowej powiatowej i opowiedziałem wszystko. Poszedłem do biura informacyjnego, tu to samo. Poszedłem do Gazety Ludowej i księdza Pośpiecha i wszędzie żądałem pomocy ku wyjaśnieniu tej sprawy. Przyznano mi rację i prawo do tego. Ja chcę wiedzieć, zaco mnie w Polsce aresztowano i kto to zrobił.

Ale mój bracie górnośląski! Choć to prawo przysługuje największemu zbrodniarzowi i ja nie jako prywatny człowiek, lecz z urzędowego stanowiska, jako „prezes Rady Ludowej“ mam prawo żądać urzędu wyższego i interwencji i wyjaśnienia, choćby przez najwyższe władze polskie i pociągnięcia winnych do odpowiedzialności, ja i tu z tego nie znalazłem należytego taktu, uznania naprawy krzywdy i strat materialnej i poparcia, tylko głoślowne obietnice: „aż do czasu“. Przekonałem się, że to wszystko fałsz wierutny. Jedyne u księdza Pośpiecha znalazłem trochę pociechy, gdy mu oddałem długą manuskrypt w tej sprawie a silne oburzenie u doktora Hyli i pana Pakuły, obywatela z Katowic.

Groziłem wtedy, że to opublikuję w gazetach niemieckich i dopiero huragan groźb i wyzwisk i oszczerstw wznieciłem na siebie. Czy ci ludzie poszaleli, albo i tu tacy są zaślepieni i zafocani i nieszlachetni, iż mi się bronić i dopominać nie pozwalają, by — jak twierdzą, zgorzzenia teraz nie narobić. A kiedyż oni to myślą naprawić? Więc ja się mam dać po pysku bić, okraść i milczeć potem dla solidarności narodowej, by się świat o tem nie dowiedział i dla spokoju opryszków. Rumpfelda daremno goniłem po Katowicach, by mu za jego denuncjację zęby wybić. Niemcy i tak już wiedzą, co się zemną w Polsce stało, bo się taka rzecz nie ukryje długo, a ja tu za głośny już byłem. A ci co się wstydzić mają, syczą jeszcze beczelnie. Wszak Niemcy doprawdy sprawiedliwsi i sumienniejsi i rozsądniejsi są od Polaków, to jest od tych hurapolaków, co ze swej strony znów chcą być hakatystami polskimi. Bo otóż uważaj Górnoślązaku!

Podczas gdy tu w miejscu i okolicy każde dziecko wie, com dla polskości zrobił i ile pracy sobie ku zupełnemu unarodowieniu miejscowości zadałem, nie szczędząc niczego, rujnując się rozdawaniem za bezcen w krytycznych czasach żywności, nie wytykając palcem pana Czapłę, Drejzy, Korfanteo, przytem ciąglem goszczeniem nienastających codziennie gości i wizyt polskich, zamknąwszy interes słotodajny i straciwszy czterdzieściosiemtysięcy marek na polskość, stwarzając z Bytkowa najlepszą wyspę polską, tak że gascy o tem pisały, a kiedy dawałem bez liczenia, to mnie z miłości i chwałyby zjeść chcieli. Wówczas kiedy musiałem się kryć i domu unikać, własni rodacy rozbijali towarzystwa stare, rozbijali nowe i latali zemną, by mnie wyśledzić i za marne parę marek zaprzedać katem. Dowody: pan Imiołczyk z Bytkowa jest świadkiem. Niedosć na tem. Musiałem wol nie wol z powodu organizowania opuszczać dom i zamknąć mój interes piekarski. Co to znaczy zamknąć piekarnię, gdzie się tygodniowo wypiekało przeszło 80 centnarów mąki i pieczywo domowe i taką ofiarę uczynić, to każdy zrozumie, gdy się pierwszego lepszego piekarza zapyta. I znaleźli się tacy Polacy, którzy się dali za parę kiellazków nakłonić przez pewnego piekarza, który chciał na moje miejsce gwałtem wleźć, że poszli do zarządu kopalni, której moja piekarnia należy bezpośrednio i chcieli zmusić, by piekarnię żonie mojej odebrano i innemu dano,

tem zaś osięgnąć, by dzieci moje i żonę pozbawić mieszkania.

Zarządca kopalni atoli, choć Niemiec, powiedział, iż żona i dzieci moje nie za moje głupstwa (tak nazwał moje ideały polskie) nie mogą i nie uczyni tego. Mój zastępca w Radzie Ludowej, wymieniony Tomasz Dziubiński, o którego się pół godziny z sołtysem dla wciśnięcia go do komisji żywnościowej w gminie na miejsce moje kłóciłem, ażem to osięgnął, ten mój pierwszy wróg polski, li tylko z tej przyczyny, że nie jego, a mnie na prezesa Rady Ludowej obrano, ten mi się tak odplacił, iż gdy później żona moja dla ratunku egzystencji piekarnię znów otworzyła, się jej przydzieleniu mąki gminnej opierał. Tenże sam Dziubiński podczas mej nieobecności, t. j. mej kryjówki, zbuntował całą Radę Ludową zpowinowaną albo zaprzyjaźnioną z nim, a podobną z charakteru do niego, przeciw mnie. Dla nieuśmiertelnienia tejże Rady Ludowej, warto naszej się o niej rozpisać. Czy pod wpływem Dziubińskiego, czy z całej inicjatywy, oddano amerykańską kuchnię, nie wyłącznie pod kierownictwo czerwonego krzyża polskiego i Towarzystwa polek, których przewodniczącą jest moja żona, lecz z pominięciem żony mej i bez uwiadomienia Towarzystwa polek, kobietom niemieckim. Typ chłopca chałupnika robotnika à la Dziubińskiego, nazywa lud nasz tutaj ironicznie „kapelusznikami”. Otóż na nieszczęście w pośpiechu naród wybrał do Rady Ludowej ludzi nieodpowiednich. A kiedy z powodu udziału niektórych członków Rady do wyborów niemieckich tychże z Rady wykluczyłem, Dziubiński sprytnie podsunął na ich miejsce swoich kolegów, tego samego co on typu i odtąd ma przewagę przeciw mnie. Robi największe głupstwa i bije polskość w twarz czynami, mnie zaś złym Polakiem nazywa. Ja jestem prezesem z imienia, de fakto na przekór mnie on nim jest. Zwołam ja Radę na to a to miejsce, o tej, a tej godzinie, on zwoła ją gdzieś indziej i później i oni nie przyjdą na moje wezwanie, lecz do niego. Naturalnie iż mi taki i honor nie pozwala iść na jego zebranie. Daremno moje na to skargi w Radzie powiatowej. Dziubiński mnie tak samo oskarża i Rada powiatowa wybierze komisję do zbadania na miejscu. Zamiast żeby ta komisja, jak proponowałem, uwiadomiła mnie o przybyciu, bym zwołał na ten czas Radę Ludową i wszystkie towarzystwa polskie w miejscu zarządy do sądu i świadectw, przyjdzie ta komisja do kogoś, i Dziubińskiego

I mnie osądzi za winnego. To mi już chyba rozum stała. Przypomina mi się niemiecka historyjka „Von den Schildbergern“. Dziubińskiego wpływ podczas mej nieobecności to zrobił, że niemal cała Rada i dwóch socjalistów polskich, moich wrogów zaciętych, postawiona została na listy kandydatów do gminy. Zawezwałem Dziubińskiego, rkarbnika Rady Ludowej do obrachunku kasy i co się z kilkuset markami, które ja do połowy ofiarowałem, stało. To jest moja rzecz, odparł mi Dziubiński, a prezes się do kasy nie powinien mieszać. I tak też zostało, bo nie chciałem dla świętej zgody pokrzywy ruszać. Amerykańska kuchnia dała wypiekać bułki dla biednych dzieci. Zależało to od Dziubińskiego i Rady, gdzie to dadzą wypiekać. Wypadało polskiej Radzie oddać do mojej piekarni, jako jedynej polskiej. Ale gdzie tam! Oddano to Niemcowi, a gdy ten sfalszował, ominięto mnie, jak zarazę, i oddano drugiemu Niemcowi, co chciał Polaków na wierzbach wieszać. To samo zrobiono ze strudelami, pieczonymi na gwiazdkę dla biednych. Oddano znów Niemcom. Przyszło do debaty, że kto sucharki (Zwieback) wypieka najlepiej, ten cały gminny Zwieback piec będzie. Okazały się sucharki odemnie najlepsze. Wniosek był zatem przez przyjaciela mego, by mi to oddano. Woleli atoli pozostawić po staremu niż mnie to przyznać. Towarzystwu Polek poprzysięgnęli ci Polacy patryoci zagładę. Walka patryotyczna się prowadzi krecią robotą na śmierć i życie. Dla sprawienia w Towarzystwie Polek gwiazdki dla biednych, stawilo na propozycję moją. Towarzystwo wniosek do gminy, by mu udzieliła gmina bez marek za zapłatą mąki i t. d. Wniosek sam po polsku napisałem.

Soltys poparł ten wniosek gorąco. Nadmienić trzeba, iż podany polski wniosek nie mógł być przez polskich radnych przeczytany i sam Niemiec Soltys go przeczytał. Radni wniosek ten odrzucili. Przychodząc do domu, zastałem takie rzeczy i takiego polskiego ducha. Broń rozdana do powstania, rozkradzono i posprzedawano. Tak się pokazują „Polscy radni“. To mi już cierpliwości brakło. Jeszcze tu polskich rządów nie ma, a już gorzej, niż te sławetne Arbeiterrate rządzą, a coś dopiero, gdyby już nastąpiły i za każde słowo krytyki wolno im będzie cię zawrzeć i rozstrzelać. Nienawisć i niezgoda, jak między wściekłymi psami, to zgoda i miłość polska. Na nas wybitniejszych i szczerzych powstańców z ukosa i pogardą patrzą i zamiast my im pluć w twarz, oni na nas bryzgają jadowitem błotem.

Postrach, Postrach! Czober, Relsch i wy wszyscy szczerzy moi przyjaciele, których ten sam los niemal spotkał co mnie, tegośmy się nie spodziewali, co?

Dziwnym jest, iż najradykałniejsi z naszych polskich hurapatryotów na słowie są polakami, a gdzie spojrzysz w oczy są przeciwnikami polskości. W każdej gminie są tacy, co w domu po niemiecku mówią, a najwięcej na Niemców krzyczą. W Nysie, kiedyśmy pierwszy raz byli aresztowani, bili i kopali polscy górnoślązacy żołnierze, wyzywając nas pieronami. Teraz zaś podczas powstania najdzikszymi katami okazali się niemal sami polscy górnoślązacy, dając dowód, jak zdziczały i fałszywy jeszcze nasz ogół polski tutaj jest, szczególnie bezwstydną buksę i nierobisnę w grenszuczu.

Wstydić się trzeba za swoich złomków. Ha, co też to było krzykaczy w naszym związku wojskowym, a gdy przyszło do czynu, to z blisko stu zapisanych, ledwo tuzin się zgłosiło, a z tych jeszcze parę było tak fałszywych i bezwstydných, że choć nie nie zrobili, broń im rozdaną rozkradli do jednego i posprzedawali. Z takim narodem nie nie poczniesz. Możesz mu tylko jaknajwiększą pogardę okazać. Ale — myślisz, iż on sobie z pogardy coś robi? nie, on ci odpowie najpiękniejszą nienawiścią na to. Żal mnie zdejmuję na to, iż z tego społeczeństwa pochodzę i w bezgranicznej miłości do niego gotów byłem życie poświęcić, straciwszy tyle czasu i materialnie tak dużo — na marnie!

Mamy przykłady z historii, iż inne narody temi drogami krętymi szły, naprz. żydzi, którzy także niczego tak bardzo nie nienawidzili jak prawdy.

Byli to hypokryci. A wiesz ty, co to jest hypokryta? Uważaj, a zrozumiesz mnie. Przepatrz sobie książkę „Nowy testament“. Czytaj tam wszystko uważnie. Przedewszystkiem, nauczysz się, co był Chrystus i nauka jego i ci co go zabili i zaco. Czytaj przedewszystkiem Łukasza VI od 21. do 48. wiersza.

A teraz odpowiedź mi, czy ci, co wyznają naukę tego Chrystusa, tak uczynią? Do czegoż podobne to chrześcijaństwo, zwłaszcza dzisiejsze i tak dalekie od nauki i zasad Chrystusa. Krocz po świecie i rozejrzyj się po nim dobrze, a spostrzeżesz, iż najpierw grzeszą kapłani Chrystusa sami przeciw nauce ich mistrza. Owce idą śladem pasterzy. Grzeszą, są rozgrzeszani i znowu grzeszą. Mój ojciec był błędny, ale wiem, że chł

powszednich grzechów codzielną kupkę zrobił, jednak głównych się wystrzegał. Być może, iż zato tyle a tyle lat w czystości mu się zmywać będzie trzeba. Pomógłbym mu chętnie. Hypokryzizm, jedna z najbrzydszych stron charakteru ludzkiego, ujawniający się między starożytnymi żydami, już wówczas stanowił przedmiot obrzydzenia i potępienia przez samego Boga. Jest on źródłem, a raczej matką kłamstwa. Nie dawał się jakim człowiek z natury swej być powinien, lecz oblekał się, w maskę obłudy i szalbierstwa. Co się działo między żydami i w chrześcijaństwo się zakradło. Już Paweł Apostoł oburzał się na to, ostrzegając przed tymi, co to pięknymi słówkami się do gmin chrześcijańskich przybliżali i do serc naiwnych niewiast się zakradali. Czytaj uważnie dzieje apostołskie i listy Pawła świętego. Dziś nasze chrześcijaństwo jest rozsądkie na niealokowane sekty nienawidzące i zwalczające się zażarcie w imię Chrystusa, któremu każda z sekt najwierniej i najprawdziwiej służyć twierdzi. A w katolickim naszym kościele co się dzieje? Dzwony biją, organy ryczą, pienia rzewne się i kadzidła wonne ku niebu i Bogu miłości wznoszą. Poważne ceremonje ołtarza otaczają i wierni śpieszą w zastępach do świątyń wspaniałych. Napatrzają się, nasłuchują, napodziwiają, naruszają się wargami z paciorków i książek i ledwie mury kościoła opuszczają, prześcigają się w spełnieniu siedmiu głównych grzechów i w domu i na ulicy i w szynkowniach i w sądach i wszędzie nie widzisz już tej nabożnej rzeszy chrześcijańskiej, lecz szatanów, którzy niczego tak skwapliwie nie pilnują, jak przestępstwa w obec kardynalnej zasady swej religji, t. j. miłości Boga i bliźniego, a religja obraca się w prawdziwą komedję. Bo nie byłaż to istna komedja, gdy się podczas okropnego, największego w historii mordu masowego światowej wojny widziało i słyszało, jak każdy naród Pana Boga za tron ciągnął i prosił o „zwycięstwo“ na swą stronę. Weźmy przykład: W jednej wsi żył karczmarz bogaty. Że karczma każda jest źródłem złego i zgorzelenia, każdy przyzna, bo tam jest wódka, tam jest alkohol. Karczmarz wtedy, który tego zgorzelenia jest panem i przyczyną, jest temsamem, co celnik w Starym testamencie. A przecież znacie z ewangelji, iż Chrystus celnikowi Lewiemu, zanim go na apostoła zawołał, zakazał tego gorszącego zawodu i kazał mu wszelkie zyski z tego rozdać. A przecież celnik, to był tylko państwowy urzędnik i w przybliżeniu nie tak winny zgor-

szenia publicznego, jak dzisiejsi karczmarze, którzy dla rze-
miosła swego odpowiedzialni są za wszelkie skutki i następstwa,
jakie z tego wynikają. Chciwość i pasorzytnicza skłonność
niejednego skłania do nabycia karczmy, które dziś są droższe,
jak dwory. Błada zaś, od kogo zgorzenie pochodzi.

Umarł więc ten karczmarz, ksiądz był u niego i rozgrze-
szył go. Pogrzeb był wspaniały. Zapewne atoli, iż karczmarz
ten miał jeszcze wiele na drugim świecie do „oczyszczenia“.

Umarł taksamo na drugi dzień w tej samej wsi biedak
inwalida górniczy, który małe dostawał renty i dlatego we wsi
gdzie mógł robił naprawy. Temu but naprawił, tam dach za-
latał i posmolił, owdzie zaś oborkę na kozę zbudował. Naj-
częściej zaś posługiwał się karczmarzowi. Jemu stale węgle
znosił, drwa rąbał i beczki kulał. Największym grzechem jego
było ubóstwo. Czasem się też upił, ale nie tak, by leżał. Był
to zresztą dobroduszny człowiek. Zapewnie że mu Bóg jego
czasowe wstawienie się, czyli zamącenie rozumu wódką otrzy-
maną od karczmarza, nie tak bardzo wziął za złe, jak karcz-
marzowi, który jako mądrzejszy, mu ją dawał. Więc wobec
sprawiedliwości Boskiej, bilans grzechowy tych ludzi był nie-
równy i karczmarz więcej na czyściec zasłużył, jak ów biedak.
Dajmy na to, iż karczmarz dostał 100 lat czyśca, a biedak
dwadzieścia pięć lat przydyktowane.

Tu jest teraz sęk tej sprawy w religji naszej. Karczmarka
była bogata. Czuła o duszę meżulka, nie trudno jej było kilka
tysięcy marek porozysłać do Rzymu, do misji różnych, do Kra-
kowa i różnych duchownych na zakup Mszy św. Taksamo
zakupiła także sprawy religijne, jak odpusty, albo z odpustami
połączone, które na dusze zmarłych są przenośne i w ten sposób
duszy karczmarza było lżej w czyściu i prędzej go odpokutował,
jak ten mniej winny biedak, którego literalnie świat wnet za-
pomnił i który dlatego znikąd pomocy ziemskiej nie mając,
swoje 25 lat strikte odbyć musiał.

Podobne to zdarzenie jest do ziemskiej sprawiedliwości. Jeśli
ktoś ukradł albo zdefraudował milion marek, dostanie z rok wię-
zienia, a czasem za 100 marek dostał ktoś inny 3 lata. Ten za mil-
ion kupi sobie kilku adwokatów, którzy go wykopią z opalów i
potem w więzieniu też mu się źle nie wiedzie, a ten za 100 marek
musi przesiupać całe 3 lata i w dodatku tem ciężko pracować, ba
— nawet tego współwielźnia za ten milion obsługiwać.

Przyznaj mi, rozsądny czytelniku bracie, czy tak nie jest w istocie? Religja nasza obróciła się w spekulację i całe chrześcijaństwo tańczy na tej komedji w zaślepieniu obłudy i sami siebie okłamują. W tem w parze idzie polityka tego świata i życie ludzkie. Wszędzie widzisz w koło siebie obłudę. Dziś prasa i ludzkość stęka i wyzywa na paskarstwo, na drożyznę, a jeden drugiego ubiega na paskarstwie, jeden się kłania bardziej od drugiego paskarzowi i jeden drugiego przekupuje. Każdy pragnie być paskarzem. To samo dzieje się w polityce. Wczoraj był pruskim patryotą, dziś jest socjalistą, jutro jest polskim hurapatryotą, za dni kilka będzie polskim socjalistą narodowym, z wielką książką modlitewną do kościoła chodził w niedzielę pod pachą. Dziś krzyczy, jako uciskany na kapitalistów, jutro gdy go obiorą do „arbeiterratu“ okaże się despota, urzędowym, i paskarzem oszust i samolub. Alboż tego „arbeiterraty“ nie udowodniły?

Spisali się już arcyświecnie. Patryotyzm ich pokazał się w świetle śmiejącego się szyderczo kościotrupa. Dopięli tego, czego łaknęli. Pod polskim sztandarem szukali zaspokojenia swoich rządów, znaczenia, albo materialnych korzyści i jutro, gdyby tu bolszewik przyszedł, będą przysięgać na sztandar jego. Powiedzą, że są najlepszymi od wieków bolszewikami! Wy obłudnicy! Kto wy jesteście, wy przewodnicy obecni narodu śląskiego pod sztandarem polskim. Nie ma was wielu, aleście obłudą waszą umieli ułudzić nas pod baryliczkowe wasze oko. Przygarnęliście pięknymi obietnicami naród do Związku Zawodowego. Gdzie są ci wszyscy, co już coś rzeczywiście skorzystali z tego? Mówię o tych robotnikach, co to swoje składki płacą, a nie was, tych, co te książki prowadzicie w tych filjach i za każdego członka pewien procent odbieracie i tych, co to po biurach siedzicie. Wy się wedle statutów nie powinniście w politykę mieszać lub ją uprawiać, czy tak robicie? A gdy właśnie przyjdzie do jakiejś ofiary dla polskiej sprawy, jak wy przeciw temu się opieracie. A gdy przyjdzie tak do strejku, potajemnie do pracy chodzicie i liżecie kapitalistom łapy. A gdy tak przyjdzie do niebezpiecznej wam się wydającej manifestacji narodowej, hej, jak wy się kręcicie, by waszej skóry nie nastawić. Pamiętam, jak p. Wieczorek z Katowic na zebraniu przeciw radom ludowym w Katowicach, gdzie reszta nie miał nic do szukania, się zawzięcie opierał jedno-

głośnemu postanowieniu manifestacji 8. maja w dniu 1 maja przeszłego roku. Nie zapomnę nigdy, co zrobił prezes filji Związku Zawodowego w Bytkowie, osławiony bohater miejscowy i patriota Tomasz Dziubiński, o którym już wspomniałem. Wszelkich arkanów chłopskiej przebiegłości użył, by ten pochód unieemożliwić. I tak robi jako polak do dziś dnia, pilnie bacząc na to, by polskości bić co dzień po twarzy. Hej, panowie, „radni gminni“ z bylejsz „Rady Ludowej“. Trafnie waszwał p. Brzeskot, żeście godni albo kryminału, albo domu warjatów. Dlaczegoż to pan, panie Dziubiński, nie posyła swoich córek, ani synów do towarzystw polskich, tylko tych ostatnich na pisarków do gmin i landratur? Zkąd się bierze ta mądrość i zkąd to ten handel temi markami cukrowemi się w Bytkowie rozwinał?

Niech przykłady świecą i udowodnią, jak świat cały ta obluda, pod której maską i w polityce t. zw. narodowej nowożytni faryzeusze swe obliczenia i sztuczki uprawiają.

Weźmy za przykład zorganizowane na Górnym Śląsku w ostatnich czasach towarzystwa kobiet czyli polek. Towarzystwo polek w Bytkowie liczy około 220 członkiń, które płacą miesięcznie wkładki. Nie wszystkie członkinie atoli płacą. Towarzystwo obowiązane jest z tego opłacać lokal, różne wydatki, dla członkini zmarłej 20 marek i wieniec na pogrzeb, a dla wychodzącej za mąż także 20 marek. Gdyby więc wszystkie członkinie płaciły, uczyni to na rok $12 \times 88 = 1056$ marek. Z tego odchodzi 12 po 7 marek miesięcznie za lokal = 84, a więc zostanie $1056 - 84 = 972$ marek. Gdyby więc trafiła się epidemja lub kilka wesel, zbankrutuje towarzystwo. Licząc bowiem, iż towarzystwo to ma przeciętnie 100 marek rocznych organizacyjnych strat, zostanie 872 marek. Prócz tego obowiązane jest towarzystwo to dawać wsparcie biednym, szczególnie na gwiazdkę, która tego roku, po 10-miesięcznem istnieniu, obdarzyła centnarem pierników, centnarem jabłek, pół centnara pieczywa, dwadzieścia wdów po dziesięć marek, wielu dzieci ubiorkami z własnych funduszków, bo jak już wyżej wspomniałem, polscy radni gminni odmówili w nierozumiałej dotąd zapalczywości stanowczo wszelkiego wsparcia pod wodzą rzeczzonego Dziubińskiego temu towarzystwu, dając zate bogatą gwiazdkę pisarzom gminnym. Towarzystwo by tego nie było mogło żadną miarą uczynić, bo prócz

tego sprawiło sobie sztandar za tysiącpięćset marek i koncert dziecienny. Dzięki niezmordowanej pracy i zabiegom przewodniczącej, odgrywającej teatry amatorskie i t. d. zdołało to zapłacić. Towarzystwo to ma wielkie kłopoty i właśnie to towarzystwo niewinnych dobrych kobiet, co go się z początku w gazetach wychwalało, stało się nagle solą w oku dla wielu „polaków” typu i charakteru Dżubińskiego i spółki. Jawnie mu zgubę poprzysiężono! A to dlaczego? Otóż dla zdobycia funduszków na cele swoje, odgrywają teatry amatorskie z powodzeniem. Te teatry, a raczej powodzenie, wzbudziło szaloną zazdrość w sercach faryzeuszów narodowych. Dżubiński dawać mu nie może, że nie jego żonę obrano do zarządu. Socjaliści polscy nie mogą go ścierpieć, iż ma na sztandarze Matkę Boską. A więc dosyć przyczyn do nienawiści. A tu jeszcze i zewnątrz niechęć. Towarzystwo podlegać ma t. zw. wydziałowi powiatowemu. Posłuchajmy, bo to najciekawsze: Wydział ten składa się z przewodniczącej, sekretarki i kasjerki. Gdy się bliżej człowiek przyjrzy pracy tego wydziału, to jest zerem wobec trudów i pracy zarządu towarzystwa, zwłaszcza na wsi, gdzie karność nie ma i pełno swarów i wobec pracy koło przedstawień i występów towarzystwa. A jednak, choć to nad siły przechodzi, zarząd towarzystwa nie bierze nic zato. Kto teatr amatorski, lub taneczną zabawę zwłaszcza z dziećmi aranżuje, i musi się o wszystko starać, włącznie uczenia ról i dyrygowania sztuki, ten wie, ile cierpliwości i czasu traci. A jednak zarząd i przewodnicząca robi to darmo. Temczasem zarząd wydziału? Uważajcie! Od każdej członkini żądają te panie w powiecie, jakby jakie państwo podatkowe, z błędnej wiary po 10 fenigów ze składek, a więc 220 marek rocznie. Naco, naco i poco? Rozumiesz to, chamie głupi na wsi, rozumiesz ty, robotniku zakopcony? A tak czynią towarzystwa śpiewackie i inne, które poznańcy nasi spekulacyjni bracia kierują lub zakładali. Ty kochaj Boga i ojczyznę i płac za wiarę i ojczyznę, a inni się cieszą i nie nie ofiarują, lecz każą sobie płacić za krok każdy i literę i słowo. Taki to wygląda ten hypokratyzm polityczno narodowy. A blada ci bracie, jeśli się spostrzeżesz na tem i zabierzesz się do krytyki tego. Wówczas się owina te faryzeusze w tę swoją powagę patryotycznej, skryją się pod płaszcz polski i z pod niego krzyczą gwałtu na ciebie, na ciebie bezbożnika zdrajce, iż na płaszcz

polski brzygasz brudem wrogim. Ha, wy faryzeusze, co wyglądacie jak wspaniałe groby z pomnikami i kwiatami, a wewnątrz pełni smrodu, jak was już Chrystus nazwał. A jak żydzi z Chrystusem zrobili, tak wy chcecie zatrute pugi nały wasze ostrzyć i gotowi jesteście z piekłem się połączyć, by mi wsadzić taki sztylet między łebra. Bo tak robią Kainy — Judasze.

Wy, co pod pokrywką religji i pałryotyzmu fałszywego, masę ludu naszego zbałamuciliście, przychodząc mu jako zbawcy, jako pocieszyciele, by z zastępem łaknących znaczenia i korzyści, spryciarzy spekulantów, na skórze naszej dopiąć celów waszych. I cóżeście nam to dotąd przynieśli. Naród nasz przyprowadziliście do niesłychanej przed trzydziestu laty nieszgody i zamętu. Jednemu zawrócona jest głowa nadzieją zysku, drugiemu, bez pytania na zdolność jego, urzędem, trzeciemu obfitością i bogactwem w Polsce. Dlaczego nie odkryjecie szczerze prawdziwego położenia i przyszłości w Polsce? Dlaczego nie powiecie otwarcie, iż w Niemcach jest kiepska przyszłość, a w Polsce dwie biedy? i każdy nie powinien się przedewszystkiem kierować obiecanyin zyskiem lub korzyścią z Polski, lecz wzbudzaniem miłości ojczyznej w sobie. Wiedcie, iż to będą najgorszy polacy, co wedle recepty waszej dziś są tak gorliwymi polakami, sądząc iż do Polski przydzieleni zostaną. A wiedcie Wy, iż ci właśnie was pierwsi będą bić, gdy się ich spekulacja nie ziszczy i będą najgorliwszymi hakatystami, gdyby Śląsk został do Niemiec przegłosowany? Albo dlaczego wy taki romantyzm bengalskich płomyków w polityce śląskiej rozniecacie, przy którym naród nasz gdy zgaśnie, oślepiy, ani się nie ogrzeje, ani niczego nie uplecze. Czyż wy nie wiedcie, iż polityki sercem się nie prowadził, lecz zimnem rozumem. Wy fantasty i fanatycy! Jak Wy sobie tę Polskę i przyszłość Górnego Śląska przedstawiacie, sami nie wiedcie, bo wy wiedcie tylko tyle, że Polska będzie „szczęśliwa, wielka, bogata“, a wy —? no, wy także będziecie przy i w niej szczęśliwi, wielcy i bogaci! A więc przedewszystkiem każdy myśli e własnem ja, bez pytania dalszego. O, wy fanatyczni faryzeusze i biedni zaślepienicy! Pozwólcie zdjąć na chwilę różowe okulary z ocz waszych krótkowidzących i zaprowadzić was w krainę rzeczywistości. Pokażę wam Polskę w prawdziwem świetle, a ciekaw jestem, czy w zapale tego pseudopatriotyzmu

polskiego, jako prawdziwe dzieci matki, dalej tak potrwać?

Wiedzie wy, że Polska od was żąda jeszcze strasznych wielkich ofiar? Wiedzie, iż tych Polska żądać musi? Otóż uważajcie! Polska jest strasznie spustoszona i nie potrafi wyprodukować tego, co naród potrzebuje. Chcąc wyreperować szkody i zależności swoje, potrzebuje pracy, pracy i jeszcze raz pracy. Potrzebuje intelektu i rąk, których niema. Intelektu do pokierowania maszynierji państwa nie stworzy za rok, ani za dwa i brak geniuszów naturalnych. A pracy! potrzeba dyscypliny i zgody do tejże, by była produktywną. Ale gdzież ją i kto stworzy, jeśli masa pracująca jest przeżarta bacylami raka społecznego, fermentów przewrotnych, którzy prędzej do góry nogami przewrócą Polskę, nim się zgodzą na jej uporządkowanie i podporządkowanie. Patrz na partje polityczne w Polsce i czytaj uważnie jej prasę. Bogactw naturalnych Polska tak strasznych nie ma, a trzeba żelaznej siły i jedności, by je wydobyc. A gdzież widzisz tę siłę i tę jedność. Wewnątrz Polska przedstawia człowieka rekonwalescenta po strasnej chorobie, który za łada podmuchem wiatru popadnie w jeszcze gorszą chorobę, która mu już więcej powstać nie pozwoli. W Polsce jest kilka milionów żydów i Niemców, ale są to elementy wiecznie Polsce wrogle i w rozumie i przedsiębiorczości daleko wyżsi od Polaków. Żydzi umieli powalić taką Rosję, a cóż dopiero słaba mała Polska? A czyż ty sądzisz, iż wszyscy Polacy, to anioły? Wiesz ty, iż tam więcej złych, jak dobrych i ci dobrzy nie mogą sobie rady dać z temi złymi.

A teraz zewnętrzne położenie Polski. To najważniejsze! Polska, chcąc nie chcąc, była wieki całe przedmurzem Europy od wschodu. Strumieniami krwi to opłacać musiała i — co za zapłatę odebrała? Taksamo i teraz musi być takim przedmurzem i drogo okupuje tę wolność zewnętrzną, której wewnątrz nie ma ani za grosz złamany, bo to na swej własnej skórze odczułem najlepiej. Drogo, bardzo drogo okupiła Polska swoją niepodległość żelazną. Wokoło zaś ma nieprzebieganych wrogów. Żadnego przyjaciela, na którego by mogła liczyć, bo w polityce nie ma uczucia, ani współczucia. Tylko silnego, którego się bać trzeba, szanuje się. Siły polskie są wyczerpane. Czesi nigdy się nie pogodzą z Polską bez Śląska austriackiego, o który się uparli. Niemcy nigdy nie zapomną swoich kresów wschodnich, szczególnie Górnego Śląska i jeśli nie otwarcie, to

dyplomatycznie wojnę Polsce wieczną wypowiedzą, nie bez wielkich sprzymierzeńców. Coraz to bardziej zwyciężki bolszewizm nie mający przeszkód wewnętrznych i zewnętrznych nderzy w Polskę, czy później, czy prędzej — czy mu Polska, wewnątrz rozszarpana, podoła się oprzeć? — — Bolszewików w Polsce już dużo i czekają na chwilę stosowną a potem? No potem, zobaczymy wszak, jeśli do Polski przyjdziemy, będziemy musieli przyjąć wojskowe prawa polskie i służbę wojenną i będziemy walczyć, czy chcemy, czy nie, o granicę Polski, tak, jak to poznaniacy dziś muszą. Różowe okulary spadną niejednemu z nas z oczu, gdy przyjdzie o głódzie i chłodzie walczyć na nowo, jak niejednemu z pułku strzelców bytomskich, z powstańców i Hallerczyków, którzy się spodziewał wnet zobaczyć Górny Śląsk, a do dziś musi słuchać po żołniersku. Polska bowiem zmuszona będzie do ciągłych wojen, lub przygotowania na nie. Dopóty zaś bolszewizm w Rosji nie jest złamany, dopóty będzie wojna.

Nie mamy wtedy różowych widoków pod skrzydłami matki naszej Polski, która się przez siedemset lat o nas mało troszczyła. Boć wedle prawdy przecież nie my, a ona nas od siebie odepchnęła. Przecież lud nasz, jak każdy inny, jęczał w niewoli i z powodu rozporządzenia króla polskiego, od pnia oderwani zostaliśmy, na dobre, przez wielkiego króla Kazimierza i wieki całe Polska macierz to prawo Kazimierza uznawała, nie myśląc nigdy o Śląsku, a mniej jeszcze o ślązakach. I teraz w Warszawie mało mi na to odpowiedzieli socjaliści i nie byli tak skwapliwi spleszyć nam z pomocą.

Jesteśmy podobni do córy, odepchniętej mimowoli od matki. Dostaliśmy się pod cudze skrzydła. Wypięknieliśmy zatem, z bogaciłiśmy się i teraz się rwą o nas i matka i cudza macocha. Podobni jesteśmy do bogatej kobiety, z jednej strony siedzi jeden, z drugiej drugi gorliwy kawaler, każdy jej przysięga miłość i że żyć bez niej mu niepodobno. Mądra kobieta, wiedząc iż najlepszy przyjaciel, to tej kieszeń, temu nie ufa i zostanie sama sobie. Zrobili tak koloniści angielscy, zrobili szwajcarzy, zrobili belgowie, nie przestając być tem czem byli, t.j. jankiesi — anglosassami, belgowie — francuzami i flamami, szwajcarzy — niemcami. I my, pozostając sobie sami, nie przestalibyśmy być dobrymi polakami.

Nikt się nie pytał o wolę naszą, ale zaopiekowali się skórą

naszą opiekuny, nie pytając nas. Któż z nas był pytany o podkomisarjat w Bytomiu? Narzucone go nam z Poznania i — słuchaj bracie! Taki pan Wolny, doktor, samorzutnie, z zagranicy do tego, samowolnie „rozkazuje” suspendowanie p. doktora Hyli, z woli ludu wybranego na prezesa Rady powiatowej; pozwala też aresztować ślązaków i mnie w Polsce i męczyć i okraść w pełnem znaczeniu tego słowa do kosztu, bo do dziś dnia nie otrzymałem z Sosnowca mojej bielizny i garderoby, której używać się nie wstydzili 2 bracia „górnosłaŕacy” w Dowództwie głównem. Doprawdy aż wstyd się przyznać do takiej braci rodaków.

I cóż ten podkomisarjat dobrego zrobił? Gdzie są rezultaty jego istnienia, szczególnie pod berłem tego jurysprudenta doktora Wolnego, co tyle fantazji w świat wypuścił? Co nazwał butnie księdza Pośpiecha „warcholem” nosząc się z myślą aresztowania go, który się pokumał tak serdecznie z „towarzyszem szewcem Biniszkiwiczem”, przyszła gwiazda polska i oświatowym pułkownikiem Żymirskim. Mówią coś o czterech milionach marek, które się w Sosnowcu, pod egidą tego tryumwiratu gdzieś podziłały w przeciągu paru tygodni.

I do czego to doprowadziła nas organizacja P. O. W. na Górnym Śląsku. Do niepotrzebnego krwi przelewu, zgorzeń, ośmieszenia i do napełnienia kieszeni niektórych „specjalistów bohaterów”. Mówią nawet, iż powstanie na to wywołano, by zatracić ślady pieniędzy i kwitarjusze.

Dlaczego nie można teraz stwierdzić, gdzie się ta broń zakupiona podziłała? Gdzie są kwity za nią? Wszak toby wszystko dało się zbadać i cyganów pod pręgierz stawić. Czy tak się ma dziać, jak w nieszczęśliwej Polsce, gdzie każdy „dobry Polak” chce się kosztem Rzeczypospolitej i żołądka ludu zбогаć? Wszak taki górnik, typ zarozumiałej stodoły śląskiej a obecny „pan komisarz” w Laurahucie, a kolega Jana Korfantego, co się to przed bohaterstwem ulękli i do Sosnowca drapnęli, choć tak pilnie się „ognia” zlekli, do dziś dnia swojej im danej broni nie oddali, bo jeden, to pan Kuźma, przyjaciel posła Sowińskiego, a ten drugi brat posła Korfantego. Czy tacy nie są obowiązani słuchać? I cóż to wynikło z kradzieży tej broni? Czy nie widzieli tego samego na Górnym Śląsku, co się dało spostrzedz w Polsce po rewolucji rosyjskiej 1906 r., kiedy pod Piłsudzkim pierwszy raz P. O. W. czyli wówczas

t. zw. bojówka miała dość pełnej broni i zamieniła się w końcu w bandytyzm i szubienice. Czyż kiedykolwiek rozkwitł tak bandytyzm i niepewność życia i mienia, jak w dzisiejszym czasie na Górnym Śląsku?

Włec jawnymi rezultatami pierwszego zapału naszego ku Polsce jest szalona partyzancja, swary i nienawiść między nami, chytrość i ambicję hypokrytyzm, a w końcu — bandytyzm. Gdzież są nasi bracia Hallerczycy górnoślązacy? W jaki sposób się tam do Polski dostali i dla czego ich nie puszczają bracia tamtejsi do domu? Z czego się to składa cały pułk strzelców bytomskich?

Włec cóż nam pozostanie wobec tego do myślenia i czynienia?

Pozostaje nam tylko zastanowić się, co robimy i gdzie idziemy, byśmy nie pożałowali, jak ja i inni tego pożałowali, że się dał oślepić bengalskim ogniem patryotyzmu i tyle mnie to kosztowało, że o mały figiel życia nie postradał, a mienie moje poszarpane tak, iż nawet łachmany moje u braci polskich pozostały. Powinniśmy skoczyć po rozum do głowy i niech przyjdzie jak chce, zabezpieczyć się, bo tu chodzi o naszą własną skórę. Powinniśmy tak zrobić, jak ten czuły ale przeznorny i roztropny ojciec, co podzielił majątek, ale sobie wycug dał zapisać prawnie. Kochajmy się, jak bracia, ale liczymy się, jak żydzi. Wówczas nie pożałujemy. Załadajmy rachunku z włodarstwa włodarzy tymczasowych, a gdy bilans wyjdzie, w co wątpić nie można, na niekorzyść ich, przepędźmy ich przez suchy las i, bez bengalskich ogni, nanieśmy sobie na niwie śląskiej własne ognisko domowe, górnośląskie.

Zabezpieczmy sobie „Autonomię“ górnośląską i zapytajmy dumnie, czy my się bez opiekunów nie obejdzimy, by z naszej pracy, z naszej ziemi i skarbów nie korzystać, gdy nam je natura, czy Bóg dał do rąk naszych na własność.

Wnijdziemy w rozum i sumienia nasze i zawstydzimy się, że sami nie posiadamy tyle rozumu; jak afrykańskie szczepy, by nami inni w imię fałszywych i nieszczerých hasel kierować mieli, byśmy tego tak nie pożałowali, jak żałują tego teraz pobratymcy nasi — słowacy.

Żadajmy Autonomii górnośląskiej!

Wy zaś, z nielicznej inteligencji górnośląskiej, szczególnie księża, wspominajcie słowa: quid quid agis, prudenter agas et

respice finem! Pomnijcie na starego filozofa w Weimarze, byście i wy, jak on w jego Fauście, nie musieli kiedyś westchnąć: „Ach die Geister, die ich rief, kann ich nicht bannen!“

Do was bracia robotnicy i właścianie, wznoszę ten głos: nie dajcie się, jak śmiecie, przez bengalskie ognie lub kolorowe tęcze objętnie oślepić, by z wami się tak nie stało, jak z wielu powstańcami i mną. Śmieją się ze mnie, że taki był głupi, taki Dziubiński, co śledził za plecem i feniga nie stracił, ci co zamiast stracić coś w ofiarach, liczą krociowe korzyści na ojczyźnie. Przypomnij sobie, mój bracie, co nam to naprz. socjaliści naobiecypali. Jak wielu do tych bengalskich ogni, Löfflerów i Hörsingów, leciało, a teraz? — pozostały smutne po Hörsingu i towarzyszu wspomnienia, a Hörsing się śmieje. Nowe bengalskie płomyki wzniesają w sercu twem bengalskie ognie, w które zapatrzeni, zapomnieliśmy o nas samych i co w koło nas mamy. Wiele z nas sobie już skrzydła popaliło, wielu już ma pogruchotane kości, lub leżą pod ziemią zapomnieni, a ty, bracie, abyś nie doczekał, byś narzekał, a inni śmiać się będą. Boć świat się składał zawsze z kilku mądrych i wielu głupich, co ich zawsze wodzić trzeba. Lecz ty nie zważaj, co inni robią i mówią, lecz pilnuj własnego rozumu. Wszak widzisz już skutki wolności socjalistycznej i polskiej naokoło siebie. Bezceństwo, kradzieże i napady i morderstwa w biały dzień. Nie jesteś pewnym ani mienia, ani życia. Jak dalej? —, to w twoim, bracie, ręku leży, taksamo jak w moim to leżało, gdy się przekonałem, mimo wszelkich perswazji i zaklęć, iż przez bandę, płaszczykami polskimi okrytych i niesłuchanie fałszywych i zaciekłych ludzi, męczony i trzymany, z polskich bratnich męczarni rozumem i odwagą się wyzwoliłem, dziękując na śląskiej ziemi, iż wyratowałem się z Polski.

Bezmyślne, bezprawne aresztowanie mnie, bezpodstawny zamiar internowania mnie na cały czas plebiscytu i barbarzyńskie traktowanie mnie i tylu innych górnoślązaków, nieczystością, obojętnością, głodem i chłodem za to, żeśmy się dla Polski na utratę życia narazili, powinno nas zastanowić, i to bardzo! Nie bądź obojętny, bracie, bo to by był błąd z twojej strony, nie do zrozumienia i nie do przebaczenia, bo to grzech przeciw logicznej i etycznej zasadzie. Pomyśl, iż, co

mnie dziś spotkało, spotkać by cię mogło samego jutro i odczułbyś dopiero, jak to boleśnie, zostać niesłusznie pokrzywdzonym, a gdy wyciągasz ręce ku mnie i ja bym ci pokazał, żem obojętny na twą krzywdę, gorzko ci będzie, a naród i społeczeństwo daje sobie tem świadectwo najnędniejszego ubóstwa duchowego i sumienia. Każdy ma prawo domagać się słuszności.

Dlatego to tak kłósko w Polsce kiedyś wyglądało, dlatego upadła i dlatego też upaść znówu by musiała, jeśli tak znów będzie. Początki tego widzimy, bo jeden drugiego krzywdził. Jeśli to zaś nie ustanie, krzywdziciele zapominają, iż się to samo na nich prędzej, czy później pomści, jako się mszczą każde grzechy społeczeństwa na sobie. Patrz na despotyzm rosyjski, jak go zmiotł gniew rozhukanej masy. Sam na własne oczy widziałem, jak panoczek komendant częstochowskiego aresztu wojskowego komendy placu, starych legjonistów, którzy Polsce wolność i jemu szlify wywalczyli, rewolwerem wygrażał i słyszałem złowrogi zgrzyt zębów żołnierzy, oszukiwanych i gnębionych w tej świeżej Polsce, którzy prędzej czy później wpadną w ramiona rewolucji i zaczną się mścić, jak się rosjanie mszczą na urzędnikach wamprach i oficerach.

Ty sobie, górnoślązaku, tę Polskę w bujnej fantazji przedstawiasz nie taką, jaką ona jest i nie pragnij jej, jaką ona jest. Ale nie łudź się także, pocieszając nadzieją lepszego jutra, bo: „Morgen, morgen nur nicht heute, sagen alle faulen Leute!“ Pocięcha jutra wygląda tak, jakobyś fundament chciał byle jako i na błocie budować, czekając, iż dach będzie dobry; wszak ci się później i ten na głowę zawali, gdy początku nie okażesz dobrego.

Jak sobie ty, górnośląski bracie, przedstawiasz wogóle tę przyszłość Górnego Śląska, gdy się z Polska złączy? Ja ci opowiem, jak to będzie, jeśli zawczasu jeszcze nie skupimy się razem.

Wrazie gdybyśmy głosami pleb'scytu pozostali przy Prusach, mielibyśmy Polacy to samo, cośmy dotąd mieli, to jest: upośledzenie narodowości naszej.

W razie zaś przewagi głosów naszych na korzyść Polski wedle traktatu Polska obowiązana będzie wkroczyć tutaj i obsadzić administrację. Ma się rozumieć Polska już wie o tem

I kompetentne sfery przygotowały się do tego. Górny Śląsk jest ziemią obiecaną nie dla jednego z głodnych karierowiczów. Wkroczy więc najpierw wojsko polskie. Ustąpi więc piket-hauba, a na jej miejsce ujrzysz rogatywki. Ale te rogatywki ci jeszcze bardziej obce, jak piket-hauby i długo trwać będzie, nim się do nich przyzwyczaisz. Generał, czyli komenda polska wyznacza porządki wojskowe, może i stan obleżenia i komisje poborowe, to jest, będziesz musiał stawać do wojska polskiego. Ze to niejednego boleśnie drażni, samo się rozumie. Urzędy wyższe nie dostaną się górnoślązakom, bo nie mamy w naszym społeczeństwie odpowiednich, wejdzie w rachubę jedynie poznańska inteligencja i polacy tamtejsi i to jeszcze ludzie t. zw. niewykwalifikowani. Na urzędach mniejszych muszą bezwzględnie pozostać ludzie ci, co są dziś na nich, t. j. Niemcy, bo i na te urzędy nie mamy kwalifikowanych sił i maszyneryję administratywną niedługoby djabli wzięli. Z tego powodu będą niezadowoleni szczególnie ci, co to dziś takimi hurapatryotami na rachunek spodziewanych urzędów są, jak n. p. tacy Dziublińscy i niejeden z tych panów ze Zjednoczenia Zawodowego, trzymającego się za patentowaną wszechmądrość. Usunięcie dotychczasowych urzędników mieści niebezpieczeństwo stworzenia niebezpiecznej irredenty niemieckiej i bolszewizmu, niezadowolenie dzisiejszych patryotycznych krzykaczy szowinistów, wywoła fermenty wichrzące politycznie. Przedstawcież sobie, iż mało będzie i jest już wybranych, co są aspirantami na „stołki“ wyższe. Aspirantom takim może być p. Biniśzkiewicz et consortas, były szewc berliński, który, choć z międzynarodówki, dlatego tak Polski pragnie, by posiem zostać, albo nawet o krzesło ministerjalnem marzy, a gdy tu zostanie tak jak jest, albo autonomia, spadnie może, o agrozol! zaowu na stołek szewiecki. I ty, robotniku, zostaniesz tam, czem byłeś i otrzeźwiejesz. Z chwilą zaś wejścia polskiego wojska przyjdą tu szczególnie przez nas poważani goście — żydzi, których forpoczty kręcą się licznie w paskarskim rzemiośle w Katowicach. Poznań już ich dostał i pomimo, że poznaniacy niemal jeszcze sprytniejsi handlarze są jak żydzi, jednak się już skarżą na tych gości i boją ich się. A przecież Polska ma tak dużo tego wybranego narodu. Nie będzie także można, choćby dla taktu, zamknąć granicy przed tylu rzeszami robotników polskich ze wsi i chłopami, którzy daleko mniej o Polskę mają wy-

obrażenia i przywiązania, jak my, zwłaszcza, gdy ich socjalizm dotchnął. Ci pierwsi, jak np. robotnik warszawski, łódzki itd. po większej części Polski nienawidzą, ci drudzy, za Rosją płaczą. Wszak nawet w intelligencji polskiej spostrzeżesz kilka obozów. Jedni płaczą za Rosją, drudzy za Niemcami, trzeci są obojętni i tylko interesu patrzą. (Czytaj „Myśl Niepodległą“.) My ślązacy jesteśmy doprawdy siedemset lat oddaleni od naszych tamtejszych braci. My zostaliśmy w pewnej mierze prostoduszni, szlifu towarzyskiego nam brak i zastępujemy go szczerością. Polacy tamtejsi, skłonni do rozrzutności, trochę lękliwi do pracy, lekkomyślni, strojni, oddający się łatwo pocięchom jutra, podejrzliwi, kochający się w błyskotkach, rzadko na serjo coś myśląc i trochę nieszczerzy, słowem lekkcy, co nas zaraz uderza, pożywszy z nimi parę dni. Oni mają nas za prostaków, któremi z braku politesy światowej i zgrabności obracania się pod pewnym względem jesteśmy, ale nie widzą, że na wskroś zdrowo, choć prosto myślimy. Niektórzy pisarze polscy, biorąc nas w obronę przed ogólnym tamtejszym sądem, jakobyśmy, byli tem samem dla nich, co w naszej wyobraźni góral, rusin, lub nieobrotny „stodoła ze wsi“, podziwiają naszą inteligencję wrodzoną i kulturalne stanowisko.

I nie omylił się ów pisarz polski. My górnoślązacy na równi z poznańskimi braćmi stoimy daleko wyżej od braci w Królestwie polskim, bo przesiąknięci jesteśmy zasadami zachodu, wychowani pod młotem bądź co bądź niezaprzeczalnej gospodarki i przemysłu niemieckiego. My, czy chcemy, czy nie przyznać, zgermanizowani jesteśmy, choć w sercu polscy, podczas gdy nasi bracia tam wiele jeszcze mają z przeszłych wieków moskiewstwa na sobie i w sobie, ukrywającego się pod blichtrzem wytwornej kuchni, ładnego stroju, szykownego układu ciała, zgrabnych ruchów, pożytki towarzyskiej i wyścielanych krzeseł. Przecież sam Pilsudzki powiedział, iż małe koło niego ludzi, coby nie byli z siedemnastego wieku. Dlatego i dzisiejszy sejm o włos się nie różni od czteroletniego i taki jest mało produktywny.

Licząc się z tem wszystkiem wypada nam zdjąć różowe okulary romantyki politycznej, której ofiarą sami padniemy, nim się ockniemy, bo jak się zapóźno przebudzimy, będziemy się szarpać niepobratersku. A jako ofiara tej romantyki, już kilku z nas padło. Polityki się nigdy sercem nie prowadził,

lecz słinnem rozumem. Naród sam zaś jest jeszcze nieuspołecznionym i nie może konsekwentnie polityki stanowić. Potrzebuje kierowników, a my, gdzież ich mamy? Tych paru adwokatów i księży? Wy, rodacy, nie będziecie przecież tak naiwni, by tą liczbę i tą jakość brać na serio w rachubę, by iść z nimi na oślep, jak owce za baranem.

Do przekonania wielu ludzi nie idzie przemówić rozsądnie. Taksamo jak Chrystus do żydów. Jeszcze dziś, zamiast się przekonać, jaką krzywdę popełnili i czasem długim się dać uleczyć, wolą samemu Bogu wojnę wypowiedzieć, niż przyznać się do zaślepienia swego. Taksamo jak ci, co mi krzywdę uczynili, zamiast się wstydzić swego czynu, krzywo patrzą na mnie, wielu mnie za zdrajcę, za zapłaconego agenta okrzyczą gdy to pismo do rąk dostaną. Lecz niech to będzie odpowiedzią takim, iż oni nie stanowią, ani większości, ani wyroczni narodu i tak jak żydów nie prawdziwa religja, lecz ich własny urobiony Bóg zysku zaślepia, tak i tych.

Wy zaś rozsądni stawcie się do szeregu. Skupiajcie się nie koło nowego sztandaru, lecz koło nowego hasła. Jedyną myślą przewodnią naszą, powinna być teraz: Autonomia Górnego Śląska!

A jakże dostąpić tejże autonomji, jakże się skupiać, zapytacie?

Zrobimy tak: nie zważajmy już na akadynad nam narzucone podkomisarjaty i inne komisje bez woli naszej. Nie zważajmy na samorządne spekulacyjno-polityczne jednostki, lecz zrobmy, gdy o naszą własną skórę chodzi i o całe wieki, byśmy przezornie, jak szwajcarzy sami o sobie stanowili. Nie dajmy politykom warszawskim, których ani my, ani oni nas nie znają, nie dajmy Berlinowi o nas się targować, lecz stanówmy o sobie sami. Tylko naszych delegatów powinno się słuchać. Nikt z podkomisarjatu z nas nie potwierdzał i niejednej Rady Ludowej i komendantów powiatowych. Nikt z nas panów posłów do Warszawy nie posyłał i nie upoważniał. I ci panowie też do dziś dnia nas się o nic nie pytali, nic o sobie nie wiemy, bliżej nie wiemy, co zrobili. Wiemy tylko, iż mamy do Polski przejść, ale jakiej Polski i jak to będzie, tego nikt nie chce lub nie ma czoła powiedzieć. Byłe przyszło, a to mamy my sami zrobić — głosując do Polski. A przecież widzimy, jak to rodowici Niemcy, naprz. bawarczy, sasy, renlandczycy,

rozpaczliwie bronią swojej samodzielności, opierają się stworzyć przez Berlin zamierzaną całość, czyli niemiecką jednolitość państwową. Muszą wtedy ci bawarczy i inni Niemcy mieć powody do tego, a przecież w to nikt wątpić nie zechce, że to nie są patryotyczni Niemcy. Taksamo że Szwajcarię, choć taka rdzennie niemiecka, albo Brazylię portugalską, jednak ani ta nie zaprzeczając być Niemcami, a ta portugalczykami, nie chciałyby za żadną cenę utracić swej samodzielności. Znać, że im tak lepiej, a nam Górnoślązakom także tak będzie najlepiej. Dlaczegoż to ten Poznań, tak gorliwie polski, jak może i jak długo trzyma się granic swych, i nie wyjawia, iż i on nie uwija się tak bardzo o zupełne objęcie w polskie ramiona, warunkując sobie pewną niezależność? Tam u siebie pilnie swoich praw i granic strzeże, a tu nam inaczej mówią.

Łączmy się więc tak, jak tamte narody czyli szczepy ich i dbajmy, by zostać sami gospodarzami w naszym tak bogatym domu, który nam prawem natury przypadł w spadku. Nie czynimy jak ten, co ma spadek bogaty, a przypuścił doń innych krewnych i mniemanych przyjaciół i w końcu sam nic z tego nie dostał.

Łączmy się i twórzmy w każdej miejscowości związki górnośląskie autonomje, albo kluby obywatelskie i tam pobierajmy sobie i udzielajmy sobie w skupieniu rady nawzajem. Poznamy liczbę i siłę i wartość naszą i zaczniemy cenić przede wszystkim samych siebie. Wyróbnymy sobie pogląd należyty na sprawę naszą, nim się udamy do głosowania plebiscytu i rozstrzygnąć los nas na zawsze. Tak kobieta rozsądna przed zaślubieniem czyni, która wie, na jaką stronę ma się zdecydować, albo co ma uczynić, wiedząc iż to na zawsze, i przede wszystkim się o nią samą rozchodzi. Nie zważa na porwy serca, które często bardzo zawodzą i mylą. Trzyma się kobieta zimnego rozumu i tak najlepiej na tem wychodzi.

Co daj Boże, byśmy tak samo zrobili i nie żałowali po niewczasie.

**Niech żyje autonomiczny Górny i Cieszyński
pobratymczy Śląsk!**



KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT



Handwritten: 7/6
KSIĄZKI
DOM

Nr 195690' a
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Podława
Matras Jan
Związek robotników
przemysłu górniczego
w Jęzorze

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Emanuela Śmółki w Opolu

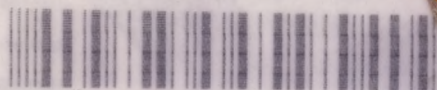
nr in.

124025¹

syg.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

12402 S



001-012402-00-0